



zapodał w wersji elektronicznej:  
„jasiek z toronto”

---

*Zdzisław M. Rurarz, 14 czerwca 1998 r.*

## **NA KOLEJNYM ZAKRECIE**

### **Uwagi wstępne**

Na przestrzeni ostatnich 80-ciu lat Polska przeszła przez cztery zakrety dziejowe.

**Pierwszym** było odzyskanie niepodległości w 1918 r. i stworzenie II Rzeczypospolitej.

**Drugim** i katastrofalnym zakretem dziejowym był okres II wojny światowej.

**Trzecim**, konsekwencją drugiego, było wejście na drogę wszechstronnej integracji z ZSRR i innymi krajami "wspólnoty socjalistycznej".

**Czwarty** z kolei zakret dziejowy odbywa się na naszych oczach, z niewiadomym jeszcze wyjściem z niego.

Odziedziczony po trzecim zakrecie całokształt układów wewnętrznych i zewnętrznych zniknął, albo prawie zniknął, a na jego miejscu tworzy się nowy, niezbyt jeszcze czytelny, mimo nadania mu już określonego "ideologicznego kierunku".

Podobnie jak w niedalekiej przeszłości, kiedy to z istniejących układów, satelickich w swojej treści, czyniono polską rację stanu, choć nie mającą sankcji większości narodu, tak teraz tworzenie nowych, mających taką sankcję, ale również satelickich w swojej treści, znowu mianuje się, niestety, polską racją stanu.

I ten fakt właśnie jest niepokojącym objawem stanu polskich umysłów, zwłaszcza elit rządzących. Ongis, w czasach PRL, w warunkach quasi-niepodległości i quasi-suwerenności, "satelicki model" był jeszcze zrozumiały. Ale dziś, w warunkach podobno pełnej niepodległości i suwerenności, skąd ten zgodny ped, niemal wszystkich liczących się sił politycznych, do dobrowolnego wyzbywania się ich w imię, bliżej niesprecyzowanej, polskiej racji stanu? W pedzie tym dziwi szczególnie entuzjazm polskiej lewicy, która, pomijając już czasy peerelowskie, do drugiej połowy 1993 r. nie tylko go nie miała, ale była niechętna idei akcesji do NATO i Unii Europejskiej.

Czyżby w grę wchodziła "tajnopajeczynowa infrastruktura", która swoją rację bytu utożsamia z polską racją stanu? Co gorsza, w czasach PRL hasłem wywoławczym były "przyjazn, pomoc i przykład ZSRR", podczas gdy obecnie jest nim "przyjazn, pomoc i przykład Zachodu", głównie dwóch jego czołowych instytucji, NATO i Unii Europejskiej.

Czy takie właśnie branie kolejnego zakretu dziejowego Polski jest rzeczywiście nieuniknione w istniejących realiach polskich oraz światowych i najwłaściwsze ze wszystkich możliwych?

Dlaczego wreszcie, sprawy tak żywotnie ważne dla egzystencji Narodu i Państwa Polskiego, decydowane są pod nieobecność pogłębionej dyskusji wśród szerokiego kręgu społeczeństwa, a nawet wśród elit rządzących?

Z "kompleksowej i przyspieszonej integracji" z Zachodem uczyniono akt wiary, tabu, nad którym jakoby nie wypada debatować. A Polacy, niestety, ci u władzy i ci poza nią, środowisk polonijnych nie wyłączając, urzeczeni swoim "nowym cudem", wiara w swoją wyjątkowość i w bezinteresowną pomoc Zachodu, przypominają plasające chocholy Wyspiańskiego, które zbudza się kiedyś i zmadrzeją, ale dopiero po szkodzie, jak zawsze dotąd.

Niech więc poniższy głos, w nieistniejącej dyskusji na temat przyszłości Polski, zmusi przynajmniej do refleksji nad dokonywanymi czynami, jeśli już są one naprawdę nieuniknione.

## **1. NATO (Organizacja Paktu Północnoatlantyckiego)**

2.

NATO, poza wyjątkiem Turcji, jest czołowym symbolem Zachodu.

Stąd też akcesja Polski, kraju cywilizacyjnie zachodniego, do zachodniego "NATO", jest z tych właśnie względów wydarzeniem nie tylko logicznym, ale także obecnie najważniejszym dla znacznej większości Polaków w kraju i tych rozszaniach po świecie.

Czy dokonywany krok, popierany przez ponad 3/4 narodu, jest jednakże przemyślany od początku do końca?

No cóż, wiedza o NATO nie tylko przeciętnego Polaka, ale często władz polskich i polonijnych, jest i nierzadko wypaczona. Powodem tego było demonizowanie NATO w PRL przez całe dziesięciolecie, a po powstaniu III RP dla odmiany jego bezkrytyczne wychwalanie. Z formalnego punktu widzenia, 710-milionowe NATO jest istotnie

imponująca organizacja. Mając tylko 12 procent mieszkańców globu ziemskiego, na kraje NATO przypada ok. 1/2 produkcji światowej. Obszar ten jest także centrum handlowym, finansowym i naukowym świata. NATO wreszcie, wydając na swoją obronę ok. 450 miliardów dolarów rocznie, wydaje znacznie więcej niż pozostały świat razem wzięty. W swoich szeregach NATO ma ponadto trzy mocarstwa nuklearne, w tym jedno supermocarstwo.

Nad wszystkim jednak, NATO jest symbolem Zachodu ze względu na wyznawanie określonego systemu wartości, którym jest demokracja parlamentarna i gospodarka wolnorynkowa.

Nie należy jednak zapominać, że NATO nie obejmuje wszystkich krajów zachodnich.

Japonia, druga w świecie potęga gospodarcza, nie jest jego członkiem, podobnie jak nie jest Australia, Austria, Finlandia, Irlandia, Nowa Zelandia, Szwajcaria i Szwecja.

I wreszcie, Traktat Waszyngtonski z 4 kwietnia 1949 r., powołujący do życia NATO, miał u swoich podstaw określoną sytuację polityczno-wojskową w ówczesnej Europie, w podzielonych Niemczech w szczególności, sytuacji nie mającej nic z obecną. W czasie powstawania NATO bowiem, od 24 czerwca 1948 r. do 9 maja 1949 r., trwała lądowa blokada Berlina przez wojska sowieckie. Ilość wojsk sowieckich ponadto, tylko we wschodnich Niemczech i Polsce, w bezpośredniej bliskości Europy Zachodniej, obliczano wtedy na ok. 1 milion żołnierzy i oficerów. Wojska te były bez przerwy modernizowane i szkolone do działań ofensywnych. Za Bugiem liczebność tych wojsk oceniano na ok. 4 miliony.

W Europie Zachodniej zaś, wojsk amerykańskich było tylko ok. 170 tysięcy, wojsk zachodniemieckich jeszcze nie było, podczas gdy armia francuska była w znacznym stopniu zaangażowana w wojnę indochińską i strażenie zamorskich terytoriów. Podobnie było z armią angielską, drastycznie zredukowaną i również zaangażowaną głównie w zamorskich krajach imperium. Armia włoska była w powijakach, hiszpańska uważano za faszystowską, a inne nie liczyły się praktycznie.

Proba zaradzenia istniejącej sytuacji własnymi siłami, poprzez utworzony w 17 marca 1948 r. zachodnioeuropejski sojusz wojskowy, Pakt Brukselski, złożony z Anglii, Francji, Holandii, Belgii i Luksemburga, nie był żadną zaporą przed ewentualną agresją ZSRR i jego satelitów. Obrona Europy Zachodniej własnymi siłami zatem, wówczas jeszcze pod nieobecność angielskiej i francuskiej broni nuklearnej, była więc niemożliwa bez aktywnego włączenia się do niej USA.

USA, na szczęście dla Europy Zachodniej, postanowiły włączyć się do jej obrony, czego rezultatem było powstanie NATO, początkowo obejmujące 12 krajów, rozszerzając się z czasem do 16-tu. Członkami-zalozycielami były: Anglia, Belgia, Dania, Francja, Holandia, Islandia, Kanada, Luksemburg, Norwegia, Portugalia, USA i Włochy. W 1952 r. do NATO przystąpiły Grecja i Turcja, w 1955 r. Niemcy Zachodnie, a w 1982 r. Hiszpania. Szanse obrony Europy Zachodniej po powstaniu NATO polepszyły się co prawda dramatycznie, zwłaszcza po przybyciu na jej terytorium dodatkowych, w stosunku do już tam stacjonujących, kontyngentów wojsk amerykańskich, wyposażonych w broń atomową.

Mimo tej poprawy, sytuacja była nadal niepokojąca.

W dniu 25 września 1949 r. bowiem, ZSRR wszedł w posiadanie broni atomowej, a 8 sierpnia 1953 r. broni wodorowej. Od 1948 r. miał rakiety balistyczne, a po wystrzeleniu Sputnika 4 października 1957 r. stało się jasne, iż miał również ciężkie rakiety międzykontynentalne, wkrótce już wielogłowicowe, zdolne sięgnąć terytorium USA.

Powyższe wydarzenia, w sytuacji nasilającego się wyścigu zbrojeń, radykalnie zmieniły istniejący wówczas układ sił w świecie. W ewentualnej III wojnie światowej, liczyły się bowiem tylko dwa kraje, zwane potocznie supermocarstwami, USA i ZSRR, z pozostałymi odgrywającymi rolę jedynie marginesowe. Dla ilustracji panującej wówczas sytuacji warto przypomnieć, że oba supermocarstwa, na przełomie lat 1970-ch i 1980-ch, posiadały po ok. 11 tysięcy nuklearnych głowic każde, podczas gdy dla zniszczenia przeciwnika potrzeba było nie więcej niż 200-300 (sowiecki arsenał nuklearny ze względu na większą moc wybuchową głowic oraz znacznie większą ilość taktycznej broni nuklearnej, był zdolny zabić każdego mieszkańca globu ziemskiego 30 razy, podczas gdy amerykański "tylko" 16 razy...).

Ten stan rzeczy, jak też postępujące odprezienie międzynarodowe po śmierci Stalina, postawiło NATO w obliczu nowych dylematów, nie przewidzianych przy jego tworzeniu. Europejscy jego członkowie bowiem, w związku ze zmianą sytuacji, zaczęli nie wypełniać swoich zobowiązań dla podnoszenia zdolności bojowej kolektywnej obrony w siłach konwencjonalnych, wywiązując się z nich zaledwie w połowie. USA znalazły się w konsekwencji tego w trudnej sytuacji. Przy niedostatku konwencjonalnych sił do odparcia agresji, USA musiałyby użyć w obronie Europy Zachodniej broni nuklearnej, ryzykując zmasowaną sowiecką ripostę przeciwko własnemu terytorium. W dodatku, pojawiły się nowe komplikacje, gdyż Francja, od 1960 r. posiadająca broń atomową, a od 1966 r. wodorową, nie wierząc w obronę Europy Zachodniej przez USA, wycofała się z wojskowej struktury NATO, najważniejszej jej części, pozostając tylko w jego "strukturze politycznej". Wycofując się ze "struktury wojskowej" NATO, co gorsza, Francja zażądała też opuszczenia jej terytorium przez wojska amerykańskie, co znacznie skomplikowało tzw. grę operacyjną NATO.

Ponadto, zarówno Francja, jak i Anglia, która również w międzyczasie stała się mocarstwem nuklearnym, deklarowały użycie broni nuklearnej wyłącznie w obronę własnego terytorium, oczekując jednocześnie od USA

uzycia broni nuklearnej w obronie terytorium całej Europy Zachodniej.

USA wreszcie, co stalo sie widoczne w czasie kryzysu kubanskiego w pazdzierniku 1962 r., na wojne nuklearna z ZSRR nie mialy z kolei najmniejszej ochoty, nawet w sytuacji zagrozenia ich wlasnego terytorium, a co dopiero mowic o zachodnioeuropejskim.

W konsekwencji tego, wytworzyla sie opatowa "situacja strategiczna", ktora w miare rozbudowy sowieckiego potencjalu nuklearnego oslabiala chec USA do wojny z kazdym dniem, podczas gdy inni czlonkowie NATO, "nuklearnych" nie wylaczajac, liczyli sie niewiele (laczny potencjal nuklearny Francji i Anglii rownal sie w granicach 1-2 procent sowieckiego potencjalu nuklearnego).

Sytuacja ta, co gorsza, zaczela z kolei potegowac niewiare Niemiec Zachodnich w gotowosc USA do obrony ich terytorium przed agresja Układu Warszawskiego. Istotnie, nie wchodzac w szczegoly, rozlokowanie wojsk USA w Niemczech Zachodnich w znacznym stopniu usprawiedliwialo taka niewiare.

Tak wiec, NATO, ktore dzis jest przedstawiane jako zwycieski i wyjatkowo udany w historii sojusz wojskowy, w rzeczywistosci bylo zawsze w bardzo trudnym polozeniu, pogarszajacym sie jeszcze z biegiem czasu.

Nic dziwnego wiec, ze NATO, ktore zreszta nigdy nie planowalo zadnych dzialan ofensywnych przeciwko sowieckiemu blokowi, robilo wszystko co mozliwe, zeby tylko ZSRR nie porwal sie pierwszy na takie dzialania. A kiedy sytuacja na tym odcinku nieco zmienila sie, po decyzjach NATO z grudnia 1979 r. o rozlokowaniu w kilku krajach Europy Zachodniej amerykanskich rakiet Pershing II i Cruise, w odpowiedzi na sowieckie rakiety SS-20, to natychmiast, na wniosek Niemiec Zachodnich, USA przystapily do rokowan z ZSRR dla zazegnienia groznej sytuacji. Wynikiem tego bylo porozumienie USA-ZSRR z grudnia 1987 r., tzw. INF, o eliminacji rakiet sredniego i krotszego zasiegu obu supermocarstwo na tzw. europejskim teatrze wojennym. Porozumienie to bylo nie tylko oznaka nowego odprezenia w stosunkach Wschod-Zachod, ale praktycznie wykluczeniem wojny nuklearnej w Europie pomiedzy dwoma supermocarstwami.

Odtad, prawde mowiac, NATO i Układ Warszawski staly sie faktycznie zbędne, zwlaszcza po kolejnych jeszcze wydarzeniach. Jednym z nich, bardzo waznym, bylo oswiadczenie Gorbaczowa na forum ONZ w dniu 7 grudnia 1988 r. o jednostronnej i znacznej redukcji sil konwencjonalnych ZSRR w Europie. Konwencjonalny i niespodziewany atak sowiecki na jej zachodnia czesc stawal sie wiec coraz mniej prawdopodobny, a jeszcze mniej nuklearny, po porozumieniu INF z 1987 r.

W klimacie spadku napiecia w stosunkach Wschod-Zachod, pokojowy charakter NATO zaczal ujawniac sie teraz juz w calej pelni. Zreszta, jeszcze w okresie "zimnej wojny", nie mowiac o czasach pozniejszych, tez tak bylo, ale propaganda w krajach bloku sowieckiego niezmiennie przedstawiala NATO jako potencjalnego agresora, gotowego do napasci w kazdej chwili.

W rzeczywistosci, bylo odwrotnie. Tak na przyklad, jeszcze w 1949 r., tuz po swoim powstaniu, NATO deklarowalo wole "pokojowego wspolzycia" ze wszystkimi rzadami i narodami.

W 1953 r. wyszlo z kolei z idea rozwiazywania konfliktow "pokojowymi srodkami", podczas gdy w 1957 r. zaczelo glosic idee wylacnie "pokojowych przemian" w Europie.

W 1967 r. wreszcie, w tzw. Raporcie Harmela, NATO oswiadczylo, iz jego glownym "celem politycznym" w Europie byl "sprawiedliwy i trwaly pokoj", ktoremu towarzyszylyby odpowiednie "gwarancje bezpieczenstwa" wzajemnego.

Tak daleko idace oswiadczenie nie uszlo uwagi Moskwy, ktora odczytala go jako gotowosc NATO do wlaczenia sie w jakis "ogolnoeuropejski system bezpieczenstwa". A poniewaz Moskwa, nie przywiazywala duzej wagi do Układu Warszawskiego, ktorego niesowieckie wojska, bez broni nuklearnej, razem wziete mialy tylko ok. 5 procent konwencjonalnej sily ogniowej wojsk sowieckich, wiec podjela natowska inicjatywe. W efekcie tego, jak zwykle krok po kroku, Moskwa przeszla do wielkiej ofensywy "polityczno-dyplomatycznej", lansujac koncepcje "bezpieczenstwa i wspolpracy w Europie", do ktorej zaliczala, poczatkowo przynajmniej, takze Ameryke Polnocna. Celem tej ofensywy bylo "rozwodnienie" NATO, poprzez pozbawienie go "struktury wojskowej", jak tez zredukowanie liczebnosci wojsk USA w Europie Zachodniej, jesli nie ich ewakuacji stamtad w ogole, co rownalo by sie jej faktycznemu odcieciu od amerykanskiego sojusznika. Pierwszym efektem tej ofensywy byl Akt Koncowy z Helsinek w sierpniu 1975 r., rozpoczynajacy nowy etap w konflikcie Wschod-Zachod, w swojej istocie juz coraz bardziej polityczno-dyplomatyczny niz wojskowy, choc wtedy jeszcze nie bylo calkiem jasne czy celem Moskwy nie mialo byc jedynie uspienie czujnosci przeciwnika, "strategiczeskij obman".

Moskiewska ofensywa "polityczno-dyplomatyczna" nabrala na rozmachu dopiero po dojsci Gorbaczowa do wladzy w marcu 1985 r.

W dniu 29 wrzesnia 1989 r. bowiem, sowiecki minister spraw zagranicznych Eduard Szewardnadze, na spotkaniu z amerykanskim Sekretarzem Stanu James Bakerem, wyszedl z sensacyjna propozycja jednoczesnego rozwiazywania NATO i Układu Warszawskiego. USA nie poszly co prawda na sowiecka propozycje, ale ich reakcja na przemiany

we "wspolnocie socjalistycznej" stala sie odtad niezwykle przychylna, co znalazlo swoj wyraz w pieciu wystapieniach prezdynta Busha, wygloszonych w okresie 17 kwiecien-31 maj 1989 r.

Przełomem w stosunkach Waszyngton-Moskwa jednakże, bez precedensu w ich historii, stał się szczyt Bush-Gorbaczow na Malcie w dniach 2-3 grudnia 1989 r., co znalazło natychmiast echo w nowej polityce NATO wobec Układu Warszawskiego. Udział prezydenta Busha w sesji Rady NATO, tuż po szczycie na Malcie, stał się początkiem serii pojednawczych i przyjaznych gestów ze strony Sojuszu, od "Apelu z Turnberry" Rady NATO z 7-8 czerwca 1990 r. poczynając, a na Karcie NATO-Rosja z 27 maja 1997 r. kończąc. Moskwa, widząc zdecydowanie pokojową reakcję NATO na dokonywane przez nią "przemiany", postanowiła pójść jeszcze dalej, pozbywając się Układu Warszawskiego, poprzez rozwiązanie najpierw jego "struktury wojskowej" 1 lipca 1990 r., a potem "struktury politycznej" 23 grudnia 1992 r. (Układ, warto to przypomnieć, nigdy nie obejmował wojsk sowieckich, a jedynie wojska jego niesowieckich członków).

Zanim jednak świat dowiedział się o tym, Gyula Horn, węgierski minister spraw zagranicznych, składając wizytę w Bonn oświadczył 20 lutego 1990 r., że członkowie Układu Warszawskiego byłiby gotowi przystąpić do NATO! Od tego momentu "rozpruł się" przysłowiowy worek z różnymi inicjatywami przystępowania do NATO ciągle jeszcze istniejącego, choć już chwiejącego się bloku sowieckiego.

Idea przystępowania bloku sowieckiego do NATO nie była nowa. Jeszcze w marcu 1954 r. ZSRR wyraził swoją gotowość przystąpienia do niego, co po dwóch miesiącach spotkało się z odmową USA i Anglii, ale pozostali członkowie NATO byli w tej sprawie mniej kategoryczni. Po tym epizodzie sprawa akcesji bloku sowieckiego do NATO, jak się to po latach okazało, nie zeszła z porządku dziennego moskiewskiej ofensywy polityczno-dyplomatycznej. Po Szewardnadze i Hornie przystąpiły do niej już czołowe osobistości Układu Warszawskiego. W dniu 16 maja 1990 r. bowiem, Gorbaczow oświadczył w Moskwie amerykańskiemu Sekretarzowi Stanu Bakerowi, że ZSRR przystąpi do NATO! Jelcyń z kolei, jako prezydent rodzącej się Rosji, zakomunikował Bakerowi 16 grudnia 1991 r. w Moskwie, że powstająca "struktura wojskowa" WNP, Wspólnoty Niepodległych Państw, po prostu ... polaczy się z NATO!

Podobnych "odzywek" było znacznie więcej, polskiej, przy okazji szczytu Grupy Wyszehradzkiej w dniach 5-6 października 1991 r. w Krakowie, nie wylaczając.

**Fakty te należy przypomnieć dlatego, żeby Polakom uswiadomic, że na długo przed "ruszeniem NATO na wschod" - "Wschod ruszył do NATO". Co działo się potem w "polityce wzajemnych usmiechow", trudno opisać w kilku zdaniach. W kwaterze NATO bez przerwy goszcili różne osobistości z Układu Warszawskiego, podczas gdy Sekretarz Generalny Sojuszu z kolei odbywał liczne podróże po stolicach wczorajszego przeciwnika. Polacy powinni także wiedzieć, że jeszcze na długo przed zapowiedzią prezydenta Clintona z 22 października 1996 r. w Detroit o gotowości przyjęcia Polski, Czech i Węgier do NATO, w dniu 29 września 1994 r., na spotkaniu z Jelcynem, wyraził on gotowość przyjęcia ... Rosji w jego szereg!**

I kto wie co by było, gdyby Jelcyń przyjął propozycję, ale jej nie przyjął, pokrywając zaproszenie milczeniem...

Na marginesie tego wydarzenia należy przypomnieć jeszcze inne, poprzedzające szczyt Clinton-Jelcyń, a konkretnie wystąpienie prezydenta Clintona na szczycie NATO w Brukseli w dniu 10 stycznia 1994 r., przy okazji powoływania do życia Partnerstwa dla Pokoju. Partnerstwo, nowa instytucja w NATO, stwarzająca przesłankę do ewentualnego w nim członkostwa, Clinton określił jako otwarte dla wszystkich, Rosji nie wylaczając.

A tymczasem NATO zaczęło redukować swoją siłę zbrojną. Jego filar, wojska amerykańskie, zostały zredukowane o 700 tysięcy, czyli o jedną trzecią, a ponadto zaczęły opuszczać Europę Zachodnią, zmniejszając swój stan z ponad 330 tysięcy do ok. 100 tysięcy, wywożąc przy okazji za ocean swoją broń nuklearną. Moskwa z kolei, szczerze lub nie, pomysłem NATO rozszerzania się na wschód" oponowała. W odpowiedzi, NATO zabrało się do "studiowania" sprawy, przedkładając we wrześniu 1995 r. dość osobliwy raport. Osobliwy dlatego, że w jego 7-miu punktach nie było słowa o tym na co nowi członkowie NATO, w tym Polska, mogliby liczyć w razie agresji, podczas gdy sporo mówiono o tym co NATO będzie oczekiwać od swoich nowych członków.

Wreszcie, żeby Moskwę uspokoić, Francja zaproponowała, a wszyscy inni w NATO poparli ją, podpisanie z nią jakiegoś porozumienia, co skończyło się wspomnianą Kartą NATO- Rosja.

Po tym wydarzeniu, gdyby naprawdę "Polska była Polska", to powinna przynajmniej przemyśleć sens przystępowania do NATO.

Widocznie jednak Rosja była innego zdania i Polska do NATO wchodzi, gdzie już faktycznie, choć jeszcze nieformalnie, jej wielki wschodni sąsiad postawił swoją nogę, z głosem bez porównania większym...

Jak dalece w związku z tym wydarzeniem zmieniła się sytuacja, warto zacytować z Karty NATO-Rosja następujące zobowiązania układających się stron:

**"... NATO i Rosja będą wspólnie budować trwałą i powszechną pokój na obszarze Euro-Atlantyckim ... Wychodząc z zasady, że bezpieczeństwo wszystkich państw w europejsko- atlantyckiej wspólnotie jest niepodzielne, NATO i Rosja będą pracować wspólnie, aby przyczynić się do powstania w Europie wspólnego i powszechnego bezpieczeństwa ..." (podkreślenia moje).**

NATO i Rosja utworzyły zatem coś w rodzaju "wspólnoty interesów", która ma zgodnie współdziałać we wszystkich europejskich sprawach, w tym oczywiście także w polskich. Ustanowiona Rada NATO-Rosja bowiem, spotykająca się regularnie, jest wyposażona w daleko idące uprawnienia. Jeśli na przykład Polska zechciałaby poskarżyć się na Rosję na forum NATO, to najpierw skarga taka musiałaby trafić na forum Rady NATO-Rosja!

A w ogóle, to niby dlaczego Polska miałaby skarżyć się na Rosję na forum NATO? Przecież jednym z warunków jej

przyjecia do NATO mialy byc jej bardzo dobre stosunki wlasnie z Rosja! Polska ze swej strony, starajac sie o wejscie do NATO, robila co mogla, albo tak musiala robic, zeby aby nie pisnac slowkiem, ze ze strony Rosji moze jej cokolwiek zagrazac!

Cel Moskwy "rozwodnienia" NATO zostal wiec w znacznym stopniu osiagnie ty. Utworzona 29 maja 1997 r. w Sintra w Portugalii EAPC, Euroatlantycka Rada Partnerstwa, do ktorej obok 16 czlonkow NATO wchodzi 28 czlonkow NACC, Polnocnoatlantyckiej Rady wspolpracy, z Rosja i Ukraina na czele, uczynila z dotychczas znanej Polakom instytucji autentyczna wieze Babel. Ilosc posiedzen w NATO wzrosla bowiem az 3-krotnie i szybko rosnie nadal.

Zmiana oblicza NATO nie byla ani przypadkowa, ani zywiolowa. NATO bowiem, wbrew pozorom, jest organizacja sojusznicza o niezbyt jasnym profilu, nie rozgraniczajac wyraznie dwoch zblizonych, ale nie identycznych pojec, ktorymi byla "kolektywna obrona" i "kolektywne bezpieczenstwo". W okresie "zimnej wojny" akcent kladziono na "kolektywnej obronie", podczas gdy obecnie, bez zmian w Traktacie Waszyngtonskim, akcent przesunal sie na "kolektywne bezpieczenstwo".

Sekretarz Stanu Madeleine K. Albright na przyklad, piszac 15 lutego 1997 r. w brytyjskim tygodniku The Economist o "rozszerzaniu NATO na wschod", o "kolektywnej obronie" nie wspomniala nawet slowem, piszac wylacznie o "kolektywnym bezpieczenstwie", ktorym bylby objeci nowi czlonkowie Sojuszu. Wynikaloby stad, ze ci nowi czlonkowie, a wsrod nich Polska, mogliby faktycznie nie byc objeci natowska "kolektywna obrona"! Innymi slowy, NATO, rozbudowujac swoje instytucje, niewatpliwie "rozwadnia sie", stopniowo jakby odchodzac przy tej okazji od swojej funkcji "kolektywnej obrony" i stajac sie organizacja "kolektywnego bezpieczenstwa", w swej tresci polityczna, a nie wojskowa. Czym wiec naprawde jest obecnie NATO i czym jeszcze bedzie w przyszlosci - nie wiadomo.

Rozwoj sytuacji w Europie i swiecie jest bowiem tego rodzaju, iz nie jest wykluczone zejście NATO ze sceny dziejowej w znanej dotychczas postaci, a na jego miejscu pojawi sie jakis "euro-atlantycki system bezpieczenstwa", od Vancouver do Wladystawostoku, ktory Rosja, przy udziale Francji, a ostatnio jakby i Niemiec, niezmordowanie lansuje od lat. USA z kolei, jak dotad, nie maja jasnej wizji czym ma byc "nowy lad" w swiecie, ktorego narodziny zbyt pochopnie obwiescily w 1992 r.

Najgorsze zas, ze NATO nie bardzo wie co ma robic dalej. Nie na darmo sowieccy dyplomaci szeptali w niedalekiej przeszlosci swoim natowskim kolegom, ze "pozbawimy was wroga i zobaczymy co wtedy zrobicie..."

Rzeczywiscie, niebezpieczenstwo sowieckiej agresji silami konwencjonalnymi przeciwko Europie Zachodniej zniknelo, podczas gdy niebezpieczenstwo wojny nuklearnej pozostalo, ale do jego zazegnania nie NATO jest konieczne, ale partnerskie, jesli wrecz nie sojuszniczne stosunki amerykansko-rosyjskie. Od lat jest bowiem oczywiste, ze w wojnie nuklearnej pomiedzy USA a ZSRR nie moze byc zwyciezcow.

Moskwa z Waszyngtonem, mimo ze dla postronnych obserwatorow, Polakow zwlaszcza, moze to czasem wygladac inaczej, robia wiec wszystko co mozliwe, zeby uniknac nuklearnego starcia. Wojna zreszta, jak nauczal Clausewitz, jest tylko jednym ze srodkow osiagania celow politycznych. Zamiast wiec isc na samobojczy konflikt zbrojny, Moskwa poszla, a Waszyngton to podjal, na rozegranie konfliktu srodkami polityczno-dyplomatycznymi. Jest wreszcie bardzo mozliwe, ze USA i Rosja, zamiast kwic w takim polityczno-dyplomatycznym konflikcie, stana sie autentycznymi "strategicznymi partnerami", antychinskimi, antyjaponskimi i ... antyeuropejskimi, co zreszta Francja nawet podejrzewa. Tym tez prawdopodobnie nalezy tlumaczyc nowa sensacje, gdzie Francja wraz z Niemcami i Rosja zaczela tworzyc "luksemburski trojkat", ktory Jelcyn, w marcu 1998 r., nazwal "osia" trzech panstw. I jesli tak istotnie potoczylyby sie sprawy, to NATO straci jakikolwiek sens istnienia, a jeszcze bardziej polskie w nim czlonkostwo.

Na temat przyszlosci NATO krza zreszta nieprawdopodobne plotki. Jedna z nich wymienia amerykanskie proby stworzenia z Izraela, Egiptu, Jordanii, Tunisu, Maroka, Mauretanii, Albanii, b. Jugoslawii, Bulgarii, Rumunii, a moze jeszcze Grecji, Turcji oraz niektorych b. azjatyckich republik sowieckich, jakiegos "nowego NATO", przeciwwaznego dla Europy Zachodniej i Rosji.

Rzeczywistosc, prawde mowiac, nawet bez tych plotek, nie wyglada rozowo dla NATO. W jego szeregach poglebia sie podzial pomiedzy USA z jednej strony, ktore coraz bardziej dominuja uzbrojeniem, a europejskimi czlonkami Sojuszu, ktorzy, bez Anglii co prawda, chca jego "europeizacji", reaktywujac stworzona jeszcze we wrzesniu 1948 r. UZE, Unie

Zachodnioeuropejska. Niebezpiecznie narasta tez konflikt na poludniowo-wschodniej flance NATO, pomiedzy Turcja a Grecja, o Cypr i rozgraniczenie wod terytorialnych, co juz raz doprowadzilo miedzy nimi do groznego w skutkach kryzysu. Obecnie, jesli Rosja wyposazy grecka czesc Cypru w rakiety przeciwlotnicze S-300, ktore Turcja zapowiada natychmiast zniszczyc, to kto wie jaki moze byc tego rezultat.

Najgrozniejszym w skutkach problemem jest jednakze "perspektywa bezrobocia" w NATO. Gdyby nie jego akcja w Bosni, nigdy w NATO nie przewidywana, to wlasciwie nie mialoby ono nic do roboty (sytuacje moze zmienic napiecie w serbskiej prowincji Kosovo, gdzie w chwili pisania niniejszych slow, NATO sklania sie do interwencji zbrojnej). W wieksza wojne w Europie nikt juz nie wierzy, a dla lokalnych wojen, zwalczania terroryzmu, przemytu narkotykow, misji pokojowych i innych akcji, zadne NATO nie jest nikomu potrzebne. Rozwiazania dla roznnych obecnych i przyszlych wyzwan nalezy bowiem szukac, w "globalizujacym sie" swiecie i przy proliferacji broni masowej zaglady, w skali ogolnoswiatowej, a nie regionalnej lub dwustronnej.

NATO zatem, znane Polakom z przeszłości, należy już do historii, a jakim będzie w przyszłości tego nikt nie wie. Jakies "nowe NATO", żeby znaleźć "zatrudnienie", musiałoby wyjść poza dotychczasowy obszar swojego działania, poza Europę, a to nie jest żadna atrakcja dla większości jego dotychczasowych członków i zapewne tych nowych, Polska nie wylaczając. "Misje pokojowe" wylaczając już obecnie bardzo kosztowne i będą droższe nadal, a w skutkach będą niepewne (NATO w Bosni wydało ponad 20 mld. dol. i jeszcze nie wiadomo czym się to skończy).

Ewentualne wejście Rosji do NATO wreszcie, najprawdopodobniej oznaczać będzie jego likwidację, a przynajmniej w formie i nazwie dotychczas znanej. Co konkretnie pojawiłoby się na jego miejscu, w sytuacji gdzie nawet "architektura" zastępującej go organizacji nie jest nakreślona nawet w zarysach, może być sprawą tylko domysłów. **Reasumując, przyszłość NATO jest mglista. Gdyby Polska została jego członkiem tuż po jego powstaniu, lub wkrótce potem, to taka decyzja byłaby sensowna, podczas gdy dziś jest co najmniej dyskusyjna.**

## 2. Unia Europejska

Drugim największym i najpotężniejszym po NATO reprezentantem Zachodu jest licząca ok. 375 milionów mieszkańców Unia Europejska.

Po NATO, członkostwo w niej jest marzeniem 2/3 Polaków, a nawet 84 procent polskiego duchowienstwa katolickiego.

Unia jednakże, nie tak jak NATO, które od niemal 50-ciu lat jest z traktatowego punktu widzenia instytucją czytelną i prawnie jak dotąd niezmienną, ze zmienną tylko ilością jego członków, jest z kolei instytucją niezwykle wewnętrznie i zewnętrznie skomplikowaną, mało przejrzystą, a tym samym Polakom mniej znaną.

Egzystencja Unii jest znacząca różnymi etapami, które wraz z upływem czasu tworzą z niej instytucję-piramidę, nie zawsze zrozumiałą nawet dla jej krajów członkowskich, nie mówiąc już o kandydatach na jej członków, wśród których jest Polska.

Aktualnie, ma za sobą już trzy "integracyjne etapy".

**Pierwszym** było stworzenie strefy "wolnego handlu", **drugim** "unii celnej", ze wspólną taryfą zewnętrzną, a **trzecim**, obecnie w trakcie realizacji, "jednolity rynek", nie tylko z wolnym przepływem towarów i usług, ale także kapitału i ludzi (bez ograniczeń w zatrudnieniu i stałym miejscu zamieszkania).

**Czwartym** etapem ma być unia walutowa i wspólny pieniądź, "Euro".

Działalność Unii Europejskiej znacząca jest też okresowymi "drogowskazami".

Tak na przykład, obecnie Unia działa w myśl Traktatu z Maastricht z grudnia 1991 r., ale od czerwca 1997 r., po przyjęciu Traktatu z Amsterdamu, częściowo zaczyna już działać zgodnie z jego duchem, choć w pełni wejść do życia dopiero w 1999 r., po jego ratyfikacji.

W ramach Unii działają ponadto trzy "europejskie wspólnoty", traktatowo niezależne, tworzone jeszcze w latach 1950-tych, jak Europejska Wspólnota Węgla i Stali, Euratom i Wspólnota Europejska.

Każdy z kolejnych traktatów wreszcie, wymyśla nowe "filary" i nowe "cele", na których opiera się Unia w codziennych działaniach. Traktat z Maastricht na przykład, wymyślił trzy "filary".

**Pierwszym** jest decyzja o utworzeniu unii walutowej, przemianowaniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Wspólnoty Europejskiej na Unię Europejską, plus kilka innych decyzji pogłębiających proces integracji.

**Drugim** filarem jest podjęcie prób stworzenia wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa.

**Trzecim** jest szereg decyzji związanych z tworzeniem jednolitego "ryнку", zgodnie z decyzjami z 1987 r., jak też stworzenie "europejskiego obywatelstwa".

Traktat Amsterdamski z kolei, nie tylko skonsolidował te trzy "filary", ale dorzucił cztery nowe "cele", w rzeczywistości dodatkowe "filary".

Celami tymi:

- nadanie priorytetu sprawom zatrudnienia i praw obywatelskich;
- ostateczne zlikwidowanie barier w swobodnym ruchu ludności w obrębie Unii oraz wzmocnienie jej bezpieczeństwa wewnętrznego;
- większy głos Unii w sprawach światowych;
- usprawnienie "instytucjonalnej struktury" Unii, mając na względzie jej poszerzenie się o nowych członków.

**Unia Europejska więc, to instytucja w ciągłym ruchu, ale jednocześnie pełna różnych zaszłości, z którymi każdy kraj przystępujący do niej musi się liczyć i które ciąży na jej bieżącej działalności. Polska, która w tworzeniu tych zaszłości nie brała udziału, a o wielu z nich nie wie do dnia dzisiejszego, nie biorąc ponadto udziału w tworzeniu nowych, znajduje się więc w niekorzystnej sytuacji, negocjując warunki akcesji do instytucji ledwie jej znanej.**

Mimo wszystko, nie należy się tym zniechęcać, pamiętając, że Unia Europejska pod względem potencjału gospodarczego jest niemal równa USA, a w mocach produkcyjnych nawet ją przewyższa. Na dzień dzisiejszy na Unię przypada ok. 1/5 udziału w produkcji światowej, podczas gdy w handlu międzynarodowym jest ona główną potęgą.

Unia Europejska, nie tak jak NATO, obejmujące dwie polkule i trzy części świata, jest regionalnym ugrupowaniem, jak dotąd wyłącznie zachodnioeuropejskim, nie obejmującym jednak wszystkich krajów tego obszaru (członkami jej nie są Islandia, Norwegia i Szwajcaria).

Mimo swojego regionalnego charakteru, Unia Europejska ma jednocześnie pogłębione więzi z wieloma krajami zamorskimi. Status członkostwa stowarzyszonego z Unią posiada bowiem 71 krajów Afryki, strefy Pacyfiku i Morza Karaibskiego, zwanych krajami APC.

Najważniejsze jest jednak coś innego. O ile bowiem NATO może ulec poważnym przeobrażeniom w momencie wchodzenia do niego Polski i potem, to jeszcze bardziej jest to prawda w przypadku Unii Europejskiej.

Powodem tego są historyczne i dziś już niepowtarzalne przesłanki powstania Unii Europejskiej.

Konkretnie mówiąc, USA, udzielając w pierwszych latach powojennych ogromnej pomocy materialnej Europie Zachodniej, były zainteresowane, nawet kosztem własnych interesów, w rozwoju w jej łonie wzajemnej i wszechstronnej współpracy. W obliczu budującego się bloku sowieckiego na wschód od Łaby, było to absolutnie nadrzędnym celem polityki amerykańskiej.

Co jednakże z amerykańskich życzeń wyszłoby naprawdę, gdyby nie interesy narodowe Francji, nie jest absolutnie pewne. Francja bowiem, bojąc się szybkiej odbudowy potencjału Niemiec Zachodnich, jak też patrząc niechętnym okiem na dominującą pozycję USA w powojennej Europie Zachodniej, wyszła z własnymi koncepcjami zaciesniania wszechstronnej współpracy na tym obszarze.

Koncepcje te poszły dwoma torami:

- budowaniem ponadnarodowej kontroli nad odradzającym się potencjałem gospodarczym Niemiec Zachodnich;
- budowaniem "europejskiej unii obronnej", do której byłyby włączone również niemieckie oddziały wojskowe (w tym czasie jeszcze ich nie było, gdyż Bundeswehra powstała dopiero w 1956 r.).

W efekcie pierwszej koncepcji, francuski minister spraw zagranicznych Robert Schumann przedłożył 9 maja 1950 r. plan, opracowany przez francuskiego ekonomistę Jean Monneta, zintegrowania niektórych przemysłów w Europie Zachodniej.

I tak doszło do powstania 18 kwietnia 1951 r. EWWiS, Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, złożonej z 6-ciu krajów (Francji, Niemiec Zachodnich, Włoch, Holandii, Belgii i Luksemburga).

"Wspólnota", albo Szóstka", początkowo udane przedsięwzięcie, stała się następnie podstawą utworzenia w 25 marca 1957 r. "Wspólnego Rynku", zwanego EWG, Europejska Wspólnota Gospodarcza, która stała się prekursorem dzisiejszej Unii Europejskiej, powstałej w myśl Traktatu z Maastricht 1 listopada 1993 r.

Druga natomiast koncepcja francuska, tzw. Plan Plevena z 24 października 1950 r., postulująca stworzenie europejskiej "unii obronnej", która nawet wspomniana już "Szóstka" wstępnie podpisała 27 maja 1952 r., załamała się w wyniku odrzucenia jej przez francuski parlament 29 sierpnia 1954 r.

Przypomnienie tych wydarzeń jest o tyle ważne, że już na początku integracji zachodnioeuropejskiej, która ostatnio ma ambicje przerosnąć w ogólnoeuropejską, ujawniły się partykularne i wzajemnie sprzeczne interesy niektórych jej uczestników, z którymi polska racja stanu ma niewiele wspólnego.

Przy tworzeniu fundamentów pod "integrację europejską", pod którym to pojęciem do szczytu kopenhaskiego Unii w czerwcu 1993 r. rozumiano wyłącznie integrację zachodnioeuropejską, wytworzyła się w efekcie mozaika różnych interesów narodowych. USA, silnie osadzone w Europie Zachodniej, miały swoje interesy, Francja swoje, Niemcy Zachodnie

swoje, chcąc zdobyć sobie miejsce w powojennej Europie na francuskich koncepcjach, a wreszcie Anglia miała też swoje, patrząc z rezerwą, do dziś zresztą, na te inicjatywy integracyjne, które mogłyby podkopać jej suwerenność. Inne kraje liczyły się o wiele mniej, choć niewątpliwie trzy małe kraje Beneluxu wołały widzieć Niemcy Zachodnie pod jakąś ponadnarodową kontrolą, niż danie im wolnej ręki.

I tak oto, proces integracji w Europie Zachodniej, jak dotąd głównie gospodarczej, gorzej lub lepiej ruszył z miejsca, podczas gdy integracja wojskowa załamała się w zarodku już prawie 45 lat temu i nie jest pewne czy uda się ją kiedykolwiek ożywić. Integracja polityczna z kolei, nie doczekała się jeszcze swojej "architektury", jeśli nie liczyć jej pierwszych początków w postaci CFSP, Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, zainicjowanej Traktatem z Maastricht i formalnie istniejącej od listopada 1993 r.

Wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa Unii, z próbami jej stworzenia sięgającymi wcześniejszych czasów, ma niezbyt chwalebny historię, czego przykładem jest sprawa "jugosłowiańska", za którą w znacznym stopniu ponosi winę. Początkowo, zarówno EWG/Unia jak i USA, chciały utrzymać Jugosławię przy życiu, jednocześnie odmawiając jej, niestety, pomocy gospodarczej (Jugosławia chciała tylko 1 mld. dol. w kredycie, a do dnia dzisiejszego NATO, ONZ, EWG/Unia i niektóre kraje - wydały już na jej terenach ok. 30 mld. dol., nic nie rozwiązując).

EWG/Unia, w każdym razie, włączyła się aktywnie w wygaszanie narastającego konfliktu w rozpadającej się Jugosławii, organizując nawet w dniu 7 września 1991 r. w Hadze spotkanie zainteresowanych stron. Zamiast jednak dopomóc w rozwiązaniu konfliktu, Niemcy, wbrew stanowisku pozostałych krajów EWG/Unii, w dniu 23 grudnia 1991 r. uznały niepodległość Słowenii i Chorwacji, co natychmiast go zaostrzyło. EWG/Unia, zamiast napiętnować Niemcy, nie tylko poszła w ich ślady 15 stycznia 1992 r. ale jeszcze uznała 7 kwietnia tegoż roku niepodległość Bosni, w wyniku czego doszło do znanej i krwawej wojny na jej terytorium, o ciągle jeszcze nieznanym końcu.

Integracja zachodnioeuropejska wiec, wkrótce obchodzaca polwiecze, przezywa wiele trudnosci, ktorzych korzenie siegaja poczatkow procesu integracyjnego.

Francja, pomyslodawca integracji, kierujac sie wlasna racja stanu, w pewnym momencie zbiezna z zachodnioniemiecka racja stanu, reprezentowana ongis przez kanclerza Adenauera, doprowadzila do powstania "osi Paryz-Bonn", uswieconej Traktatem Elizejskim z 20 lipca 1963 r.

W efekcie tego, integracja zachodnioeuropejska stanela faktycznie tylko na dwoch filarach, francuskim i zachodnioniemieckim, dzis niemieckim, co nadalo jej nie tylko okreslonej tresci i formy, ale nade wszystko uzaleznilo ja od politycznej woli obu mocarstw, wartosci przeciez zmiennej.

W konsekwencji tego, "dwufilarowa integracja" stworzyla wielce zlozona sytuacje. Czym innym byl bowiem "filar francuski" i czym innym "filar zachodnioniemiecki", dzis "niemiecki".

Wykorzystujac integracje dla wlasnych interesow, Francja, modernizujac swoje rolnictwo, glownie za bonskie pieniadze, uczynila swoj "filar" malo solidnym. Oczywiscie, wspiera ona rowniez w wlasnej kieszeni proces integracji, ale w ostatecznym rachunku nie ponosi jej kosztow, wplacajac aktualnie do budzetu Unii ok. 13 mld. dolarow i odzyskujac z niego ok. 12,5 mld. dolarow. W sumie wiec, Francja tylko w bardzo niewielkim stopniu wspomaga finansowo integracje (w przeszlosci bylo odwrotnie, gdyz to integracja ja wspomagal).

Inaczej maja sie sprawy z "niemieckim filarem". Wklady Niemiec do budzetu Unii, najwieksze wsrod krajow czlonkowskich, siegaja 30 procent wszystkich wkladow, jednoczesnie ponad 2-krotnie przewyzzajac odpowiedni odzysk, co w efekcie daje Niemcom 60-procentowy udzial w "czystych" wydatkach unijnych (rowna sie to ponad 10 mld. dol., wykladanych rocznie z niemieckiej kieszeni na integracje europejska).

I ten "niemiecki filar", glowny w europejskiej integracji, zaczyna sie chwiac ostatnio. Z powodu olbrzymich wydatkow, zwiazanych ze zjednoczeniem kraju, siegajacych rocznie 65 mld. dolarow, Niemcy chca zredukowac swoj wklad do budzetu Unii o 3,75 mld. dol. jednoczesnie chca zatrzymac odzysk z unijnego budzetu na podtrzymywanie swojego rolnictwa i na pomoc dla obszarow b. NRD. A poniewaz podobnie chca zredukowac swoj wklad do unijnego budzetu Holandia, Austria, Szwecja i Anglia, wiec sprawa "ukladu smarowania" integracji europejskiej zaczyna sie powaznie komplikowac.

Problem budzetu Unii, do ktorego wklady krajow czlonkowskich wynosza 1,27 procent ich produktu krajowego brutto, a zwiekszenie ich jest wykluczone, staje sie wiec problemem Nr. 1, co moze miec daleko idace reperkusje, zwlaszcza w zwiazku z jej zamiarami poszerzania sie o nowych czlonkow. Nie jest bowiem pewne kto ma placic za dalsza integracje, ktora w przypadku rozszerzania sie jej na wschod i poludnie znacznie przeciez podrozeje.

Francja, w przypadku redukcji wkladu Niemiec do budzetu Unii, nie tylko nie wyrowna powstalej luki, ale jeszcze z pewnoscia bedzie miec do nich pretensje za "weza w kieszeni", co moze pogorszyc i tak ostatnio juz nie najlepsze stosunki pomiedzy tymi obu krajami. To zas odbiloby sie fatalnie na perspektywach dalszej integracji w Europie.

Luki nie wyrowna tez Anglia, ktora do integracji doplaca na "czysto" ponad 2 mld. dol. rocznie, Wlochy, doplaczajace prawie 2 mld. dol., Holandia, niemal 2,5 mld. dol. czy Szwecja z Austria. Belgia, Dania, Finlandia, a zwlaszcza Luksemburg, "kraje bogate", z integracji wiecej korzystaja niz do niej dokladaja i zapewne nie zechca dobrowolnie tego zmienic, a nikt je do tego tez nie zmusi. Inni, zaliczani do "biednych krajow", z integracji korzystaja. Prawie 40-milionowa Hiszpania otrzymuje rocznie na "czysto" prawie 6 mld. dol., 10,5-milionowa Grecja ponad 4 mld. dol., 10-milionowa Portugalia niemal 2,9 mld. dol., podczas gdy 3,5-milionowa Irlandia ok. 2,3 mld. dol. Nawet 0,4-milionowy Luksemburg, najbogatszy kraj Unii, odzyskuje z Unii prawie 3-krotnie wiecej, niz do niej wplaca, ok. 300 mln. dol. rocznie!

Oczywiscie, zaden z tych krajow-beneficjentow nie zrezygnuje z otrzymywanej pomocy, ani tym bardziej nie bedzie pomagal "nowicjuszom" w Unii, z ktorzych jednym ma byc Polska.

Problem finansowania integracji wyglada wiec niepewnie, a bez doplaczania do niej watplivy jest jej dalszy postep. zwlaszcza, jesli czlonkami Unii zostana kraje tak biedne jak Polska, ktore trzeba dofinansowywac w stopniu o wiele wiekszym niz mialo to dotad miejsce w jej historii. wstepnie wymieniane sumy na ten cel, maja laczenie stanowic ok. 63 mld. dol. w okresie lat 2000-2006, a wiec tyle, ile otrzymuje rocznie od samych Niemiec terytorium b. NRD, zamieszkałe przez ok. 17 mln. ludzi. zreszta, nawet i ta suma nie jest pewna (w czasie dyskusji nad wysokoscia tej pomocy padaly propozycje ustalenia jej na poziomie ok. 300 mld. dol., ale nie doczekaly sie one poparcia).

Nie problem pomocy jednakze, ale dalsza wspolpraca Niemiec i Francji jest najwazniejsza w procesie integracji europejskiej. Czy Niemcy zechca nadal z nia wspolpracowac w tej dziedzinie, czy tez zaczną wycofywac sie z "osi", orientujac sie na poglebione stosunki z Rosja i innymi krajami b. ZSRR oraz Europy Srodkowej i Wschodniej, naturalnymi oraz tradycyjnymi rynkami zbytu i zaopatrzenia dla nich, zwlaszcza po przeniesieniu stolicy do Berlina w 2000 r.?

Tym bardziej, ze Niemcy maja prawdopodobnie dosc dotychczasowego francuskiego patronowania, ktore szczegolnie "dopieklo" Bonn w czasie upadku muru berlinskiego.

Moskwa, ktora tym wydarzeniem rozpoczela jednoczenie Niemiec, z procesu tego praktycznie wylaczyla trzy mocarstwa zachodnie, ktore, jako faktyczni ich okupanci, o zamiarach czwartego okupanta powinny nie tylko wczesniej wiedziec, ale nade wszystko wyrazic na nie zgode.

Zaskoczona wydarzeniami USA, jakos z tej kłopotliwej sytuacji wybrneli, robiac dobra mine do zlej gry, ale Anglia, a zwlaszcza Francja, nie ukrywaly swojego zdenerwowania z powodu moskiewskiej niespodzianki.

Przerazonony tym francuski prezydent Mitterand sprzeciwial sie wrecz demontazowi granicy pomiedzy NRD a RFN, a dla podkreslenia sprzeciwu, nie konsultujac swojej decyzji z Bonn, zlozyl niespodziewana wizyte w NRD w dniach



20-21 grudnia 1989 r., w kraju, ani

przez niego, ani żadnego innego francuskiego prezydenta, nigdy dotąd nie odwiedzanym! Francja zatem, tym gestem, jakby chciała ratować ginącą NRD, rzecz nie do wybaczenia i zapomnienia w Bonn.

Bonn z kolei, chcąc zjednoczenia kraju, zresztą nie mając innego wyjścia, gdyż "enerdowscy" masowo przynosili się na zachód od Laby, musiało jakos zareagować na wydarzenia na wschód od niej. I tak doszło do słynnego wystąpienia kanclerza Kohla 28 listopada 1989 r., w którym pośrednio zrobił dwie ważne aluzje, a mianowicie, że zjednoczone Niemcy mogłyby opuścić NATO i Unie Europejską... Wystąpienie Kohla wzmogło natychmiast obawy i nieufność Paryża wobec jednoczących się Niemiec. W rezultacie tego, podobnie jak w pierwszych latach powojennych, Paryż wyszedł z koncepcją, osadzającą zjednoczone Niemcy w "zjednoczonej Europie", wtedy jeszcze nie obejmującej Europy Środkowej i Wschodniej.

Jak taka "zjednoczona Europa" miałaby wyglądać - nie było bynajmniej jasne. Od czasów prezydentury gen. De Gaulle'a kolatała się co prawda wizja "Europy ojczyzn", nigdy bliżej niesprecyzowana. Przeciwnie jej wizje, "europejskiej ojczyzny", jakichś "stanów zjednoczonych Europy", jak też "partnerskiej Europy", były podobnie mało sprecyzowane, a nade

wszystko nieprzydatne dla praktycznych działań politycznych. Czas tymczasem naglił i trzeba było szybko przystępować do akcji.

Jednoczące się Niemcy, dla "świętego spokoju", podjęły francuska rekawicę, ale nie bezwarunkowo. Akceptując związanie jednoczącego się kraju z "europejską integracją", Niemcy powróciły do koncepcji "Planu Wernera" z 1970 r. i kilku innych, które głosiły ideę stworzenia unii walutowej, a w jej ramach "waluty europejskiej", jako nieodzownego warunku zbudowania zjednoczonej Europy. Niemieckie stanowisko, formalnie idące także po linii koncepcji francuskich, które znalazły swój wyraz w tzw. Jednolitym Akcie Europejskim z 1987 r., przewidującym stworzenie "jednolitego rynku", w tym unii walutowej, znalazło pozytywny oddźwięk we wspomnianym już Traktacie z Maastricht. Traktat zapowiedział stworzenie unii walutowej bądź w 1997 r., bądź w 1999 r. (w 1995 r. zdecydowano, że w 1999 r.).

Istotnie, jeśli Unia Europejska ma być jakąś zjednoczona Europa", a nie tylko strefa "wolnego handlu", niezmiennie ogłoszona przez Anglię, to wyposażenie jej w unie walutową i wspólną walutę jest nieodzownym warunkiem wstępnym do tego celu.

Francja, nie mając formalnych powodów do sprzeciwu, zwłaszcza że Jacques Delors, jej przedstawiciel i do niedawna przewodniczący Komisji był gorącym propagatorem "Euro", rozwiązanie przyjął. W rezultacie tego, 11 krajów członkowskich spośród 15-tu, od 1 stycznia 1999 r. poczynając, zaczęła tworzyć prawdziwą unie walutową, ze wspólną walutą "Euro", która po 1 lipca 2002 r. zastąpi ich narodowe waluty (do przedsięwzięcia nie dołączyły Anglia, Dania, Grecja i Szwecja).

Rzecz godna uwagi w tym wydarzeniu jest to, że właśnie Niemcy poważnym autorem "Euro" i głównym bankierem wspólnej waluty, z Europejskim Bankiem Centralnym usytuowanym we Frankfurcie nad Menem. W krajach Unii zaczęto nawet szeptać z tego powodu, że na jej czele stoi faktycznie "wielka trojka", niemiecka, a konkretnie kanclerz Helmut Kohl, Theo Waigel, niemiecki minister finansów oraz Hans Tietmayer, prezes Bundesbanku, niemieckiego banku centralnego.

"Euro", zwany też "Euro 11", rodząc się i rezydując w Niemczech, w 32 procentach podbudowany potęgą DM, niemieckiej marki, służącej ponadto jako wzorzec dla "europejskiej waluty", podobnie jak Bundesbank dla Europejskiego Banku Centralnego, może więc mieć decydujące znaczenie dla dalszego istnienia Unii Europejskiej. Jako główny architekt "Euro", Niemcy ustaliły dla tej "unijnej waluty" wręcz drakonskie kryteria i stąd nie wiadomo jeszcze kto tym kryteriom sprosta w praktyce. Same Niemcy miały kłopoty ze zmieszczeniem się w nich, nie mówiąc już o kilku innych krajach, które tylko na "sile" dopasowały się w ostatniej chwili. Francja, która chciała złagodzić niektóre drakonskie kryteria, spotkała się z twardym niemieckim "Nein!", które postawiło ją w obliczu dylematu, bądź wycofania się z przedsięwzięcia, co przy jej 20-procentowym udziale w "Euro" skończyłoby się jego martwym porodem, Niemcy zaś mogłyby to wykorzystać do dystansowania się od Unii, bądź podjąć ryzyko dla zachowania z nimi "osiowych" stosunków.

Co z tego wyniknie w przyszłości, tego nikt nie wie, ale jeśli kryteriom "Euro" w najbliższych latach nie sprosta właśnie Francja, to wypadając z przedsięwzięcia załamię dalszy postęp integracji w Europie, za co ona, a nie Niemcy, poniesie odpowiedzialność.

Gdyby zaś same Niemcy nie mogły sprostać własnemu pomysłowi, rzecz również możliwa, to grozić to może identycznymi konsekwencjami, choć większymi w skali, dla europejskiej integracji. "Euro" nie cieszy się poparciem aż 2/3 Niemców, co w przypadku jego załamania się - podkopie ich zaufanie do kontynuowania "integracji europejskiej", co może być jej koncem.

Dalsza więc przyszłość Unii Europejskiej zależy od sukcesu lub fiaska "Euro". Która z tych dwóch alternatyw okaże się prawdą, nie można przewidzieć, gdyż jego losom zagraszają co najmniej dwa niebezpieczeństwa.

Pierwszym, jest "osamotnienie" unii walutowej, bez uzupełnienia jej unią finansową, co może być jej "marszem na jedną nogę", rzecz w praktyce niemożliwa.

Drugim, jest prawdopodobieństwo zniszczenia "Euro" przez międzynarodowych spekulantów walutowo-finansowych, głównie amerykańskich. "Euro" bowiem zamierza zmierzyć się z Dolarem, co może być początkiem

jego konca.

Kolejnym wyzwaniem dla przyszłości Unii jest zapowiadana, ale ciągle nie uzgodniona, reforma jej instytucji, przedsięwzięcie nieodzowne dla jej obecnego i przyszłego funkcjonowania.

#### **Unia Europejska ma aktualnie następujące instytucje:**

- Rada Europejska (nie mylic z Radą Europy!), składająca się z szefów państw oraz rządów krajów członkowskich i spotykająca się dwa razy do roku na tzw. szczytach;
- Rada Ministrów, składająca się z szefów różnych resortów krajów członkowskich (w zależności od potrzeb raz mogą to być ministrowie spraw zagranicznych, a raz ministrowie rolnictwa, finansów i gospodarki itp.);
- Komisja Europejska, składająca się z 20-tu Komisarzy, z 5-letnią kadencją, spośród których dokonuje się wyboru Przewodniczącego Komisji i dwóch wiceprzewodniczących (duże kraje członkowskie, jak Niemcy, Francja, Anglia, Włochy i Hiszpania mają po dwóch komisarzy, pozostałe zaś po jednym);
- Parlament Europejski, 626-mandatowy, jednoizbowy, o 5-letniej kadencji, pochodzący z wyborów bezpośrednich w krajach członkowskich (Niemcy dla przykładu, mają w nim 99 mandatów, Francja, Anglia i Włochy po 87, Hiszpania 64, Austria 21, a Luksemburg 6);
- Trybunał Europejski, składający się z 15-tu sędziów (Każdy kraj członkowski ma po jednym reprezentancie narodowym);
- Europejski Bank Inwestycyjny, największy tego rodzaju w świecie (udzielił w ciągu swojego 7-letniego okresu 24 mld. dol. niskooprocentowanych pożyczek);
- Europejski Bank Centralny (istnieje dopiero od 1 czerwca 1998 r. i stąd nie figuruje jeszcze oficjalnie wśród unijnych instytucji).

Dwa z tych organów, Rada Ministrów i Komisja, wymagają pilnego zreformowania, zwłaszcza w perspektywie rozszerzania się Unii Europejskiej o nowych członków.

Reforma tych dwóch instytucji wiąże się jednak z innym, wysoce skomplikowanym aspektem procesu integracji europejskiej.

Integracja wystartowała bowiem najpierw jako "Szóstka", z czasem rozszerzając się na inne kraje. W 1972 r. z "Szóstki" zrobiła się "Dziewiątka", kiedy dołączyły do niej Anglia, Dania i Irlandia.

W 1981 r., po przystąpieniu Grecji, "Dziewiątka" stała się "Dziesiątką", w 1986 r., z Hiszpanią i Portugalią, stała się "Dwunastką", a w 1995 r., z Austrią, Finlandią i Szwecją, stała się "Pietnastką".

Obecnie, po formalnym rozpoczęciu się 31 marca 1998 r. procesu negocjacji o akcesję 6-ciu krajów, Cypru, Estonii, Polski, Republiki Czeskiej, Słowenii i Węgier, Unia może stać się "Dwudziestką Jedynką". A ponieważ w kolejce stoi jeszcze następna 5-tka krajów, Bułgaria, Litwa, Łotwa, Rumunia i Słowacja, Unia ma perspektywę zostania "Dwudziestką Szóstką", z 500 milionami mieszkańców.

Tak szybki, ilościowy wzrost Unii, stwarza dla niej niebotyczne problemy instytucjonalne.

Dawna bowiem zasada jednomyslności powoli zanika, ustępując stanowisku większości, co wymaga skrupulatnego rozdziału głosów wazonych, aby "duże kraje" nie zdominowały "małych krajów" i odwrotnie, zachowując przy tym zdobyte wcześniej pozycje poszczególnych krajów członkowskich.

Dla rozwiązania tych komplikacji powołano co prawda specjalne forum, Międzyrządową Konferencję, IGC, ale rozpoczęte przez nią prace w marcu 1996 r., które miały zakończyć się do lipca 1997 r., utknęły na martwym punkcie i nie wiadomo jaki będzie ich finał. Wstępnie ustalono, że Parlament Europejski nie przekroczy 700 mandatów, a Komisja 20-tu komisarzy. Inne sprawy są "w lesie", a wstępnie uzgodnione mają niepewną przyszłość. Duże państwa na przykład, są gotowe zrezygnować z przywileju posiadania po dwóch komisarzy, ale skoro ma ich być nie więcej niż 20-tu, to w przypadku wzrostu Unii do 21 członków, a jeszcze bardziej do 26-ciu, nie wszyscy z nich mogliby mieć "swoich" komisarzy, ale komu ich nie dać i komu ich odebrać? Państwa, rezygnujące z posiadania dwóch komisarzy,

domagają się ponadto rekompensaty w "głosach wazonych" w Radzie Ministrów, których obecnie jest 87, przy większości kwalifikowanej w wynoszącej 62 głosy. Po wejściu do Unii nowych członków rozdział tych głosów, już dziś wysoce niekorzystny dla niektórych państw, skomplikuje się niepomiaralnie i dotąd nie jest jasne jak ten problem będzie rozwiązany.

Aktualnie bowiem, cztery "duże kraje", Niemcy, Francja, Anglia i Włochy, mają w Radzie Ministrów po 10 głosów każdy, co już jest niezupełnie sprawiedliwe dla Niemiec, 82-milionowego kraju, który ma tyle samo głosów co 57-milionowe Francja, Anglia i Włochy. Jeszcze bardziej nonsensowny rozdział głosów ujawnia się w pełni we wszystkich innych przypadkach. Malenki Luksemburg na przykład, ma 2 głosy, czyli jeden głos reprezentuje ilość 200 tysięcy obywateli,

podczas gdy w przypadku Niemiec, jeden głos reprezentuje aż 8,2 milionów obywateli, różnica ponad 40-krotna, w demokratycznej przeciwieństwie Unii!

Rozdział głosów wazonych, w sytuacji odchodzenia Unii od zasady jednomyslności i przechodzenia na "zasadę większościową", efekt rozszerzania się jej o nowych członków, grozi jej podziałami na "Europy różnych szybkości", co faktycznie może oznaczać jej dezintegrację wewnętrzną.

Podobnych dziwolągów z rozdziałem głosów w Radzie Ministrów Unii jest znacznie więcej, a po jej ewentualnym powiększeniu się o nowych członków, będzie ich jeszcze więcej, naruszając jej wewnętrzny i wysoce delikatny układ sił. W chwili obecnej żadna z dwóch grup krajów członkowskich, dzielących się z grubsza na "duże" i na

"male", nie może przegłosować drugiej, ale po napływie nowych członków, głównie "małych", sytuacja ta może ulec radykalnej zmianie, co już wywołuje żarte spory. Niektóre kraje, jak Belgia, wyszły nawet z propozycją, żeby głosy w Radzie rozdzielać nie według demograficznego kryterium, ale "dochodowego". W myśl tej propozycji, Polska, której produkt krajowy równa się produktowi 5-milionowej Finlandii, miałaby tylko 3 głosy, a nie jak demograficznie równa jej Hiszpania, która ma 8 głosów. Projekt belgijski na szczęście upadł, ale świadczy on najlepiej o charakterze sporów. Innym dylematem jest też nowy rozdział mandatów w Parlamencie Europejskim i jego funkcjonowanie. Dzisiaj, bardziej niż w przeszłości, ma on możliwość "współdecydowania" o sprawach Unii, ale nie będąc jeszcze w pełni uprawnionym parlamentem, na wzór narodowych, nie bardzo wie co ma robić.

Sprawa sama w sobie jest natomiast Trybunał, który właściwie nikomu nie podlega, a jego decyzje stają się wiążące nawet dla prywatnych podmiotów prawnych w Unii. Jako wybitnie "prorynkowy", rozmontowuje on szereg osłon socjalnych, nadając jednocześnie wielkiemu kapitałowi nieograniczone swobody działania. Dlatego właśnie jego rola zaczyna być coraz bardziej kontrowersyjna.

Nowopowstały Europejski Bank Centralny, który wystartował od 400 funkcjonariuszy, z przewidywaną ilością pod koniec 1998 r. ok. 900, to znowu problem sam w sobie. Banki centralne w większych krajach Unii bowiem, liczą po ok. 10 tys. funkcjonariuszy i kto wie czy EBC nie pojdzie w ich ślady. Nikt też dokładnie nie wie komu EBC będzie konkretnie podlegał.

Największym chyba problemem jest wreszcie Komisja, faktyczny rząd Unii. Jej 15 tysięcy funkcjonariuszy, liczebnością dwukrotnie przewyższa wszystkie inne unijne instytucje i agencje.

Komisja zatem, to instytucja potężna, ale jednocześnie niezwykle zbiurokratyzowana. Z jej łona wychodzą różne inicjatywy i pomysły, o bardzo dużym znaczeniu, jak na przykład "Agenda 2000", czyli plan działań całej Unii na najbliższy okres. W jej dyspozycji jest też unijny budżet oraz cały szereg innych działań, jak ... "szpiegowanie" chłopów fińskich z satelitów na orbicie, czy aby nie sieja czegoś zabronionego przez "wspólną politykę rolną"! Odnosnie budżetu w dyspozycji Komisji, to nie ma jasności co będzie z nim w przyszłości. Aktualnie wynosi on ok. 93 mld., jest zmienny ze względu na swoją "ruchomą" podstawę, a jego podział, to wieczna niepewność i powód do żartów kłotki. Podobnie nie jest znany los wspólnej polityki rolnej" i tzw. pomocy regionalnej, które na godziń najbardziej absorbują Komisję.

Odnosnie wysokości budżetu, w obliczu poszerzania się Unii na wschód i południe, to fakt zamrożenia wkładów do niego, na poziomie 1,27 procent produktu brutto kraju członkowskiego, protestowany zresztą przez Niemcy, jest problemem niezwykle ważnym i delikatnym. Pol biedy jeszcze, jeśli produkt ten będzie wzrastał w przyszłości, co automatycznie zwiększy wkłady do budżetu. Ale co będzie w przypadku jego stagnacji, czy nawet spadku? A w ogóle, jeśli Unia ma pomóc "biednym" kandydatom w przystąpieniu do jej szeregów, to dlaczego nie chce przeznaczyć więcej pieniędzy na ten cel?

Pieniądzy może nawet byłoby więcej, gdyby Unia dotrzymała swoich własnych obietnic, redukując swoje wydatki na "wspólną politykę rolną", ale wysiłki Komisji w tym kierunku spotykają się z gwałtowną opozycją krajów z niej korzystających. Ciągła akcesja do Unii pogłębia wreszcie jej wewnętrzne zroznicowanie. Nawet w obrębie obecnej "Piętnastki" jest ono znaczne, komplikując proces integracji.

A co będzie, jeśli obok obecnych "biednych krajów" Unii, Grecji, Irlandii, Hiszpanii i Portugalii, liczących łącznie ok. 65 milionów ludzi, z niektórymi z nich już wychodzącymi z tej grupy, pojawi się jedenastka krajów, z których dosłownie wszystkie uważane są za biedne?

Jak wobec tego patrzeć na dorobek "integracji europejskiej", ucielesnionej w Unii?

Niewątpliwie, ma ona szereg osiągnięć na swoim koncie, choć z drugiej strony wiele z nich nie są jej członkami, dobiły się nie mniejszych osiągnięć, pozostając poza nią.

"Wspólna polityka rolna", sztandarowe przedsięwzięcie Unii, trwająca od 1962 r., kiedy pochłaniała ok. 70 procent jej budżetu, a dzisiaj nadal ok. połowy, zmniejszyła co prawda udział i bezwzględna liczebność ludności rolniczej w strukturze demograficznej krajów członkowskich, ale jakże olbrzymim kosztem. Niektórzy zarzucają nawet tej polityce wygnanie masy ludzi z rolnictwa do miast, zwiększając tam ilość bezrobotnych, a tym samym zasiłki dla nich świadczone z kasy państwowej, czyli podatnika. Krytycy przypominają też, że żywności w Unii produkuje się o 1/5 za dużo, że składa się o wiele większym kosztem, albo jeszcze większym wywozi za granicę, poniżej kosztów produkcji, dezorganizując przy okazji handel światowy produktami rolnymi.

I to jest prawda. CAP, unijna "wspólna polityka rolna", była dziesiątkami lat głównym kamieniem niezgody najpierw w GATT, Układzie Ogólnym o Taryfach Celnych i Handlu, a dzisiaj jest nie lepiej w nowopowstałej WTO, Światowej Organizacji Handlu.

Ile strat z tego powodu poniosła gospodarka światowa - nie sposób obliczyć.

Produkowana żywność w krajach Unii jest ponadto za droga, prawie dwukrotnie droższa od amerykańskiej, co ujemnie wpływa na wzrost wewnętrznego popytu na artykuły nierolnicze, hamując tym samym ekspansję gospodarczą i redukując stopę życiową ludności. "Wspólna polityka rolna" ma co prawda przejść już niedługo do historii, ale moment jej zgonu opóźnia się, pochłaniając w międzyczasie kolejne dziesiątki miliardów dolarów.

Drugie wielkie przedsięwzięcie, tzw. pomoc regionalna, która okresami pochłania do 40 procent unijnego budżetu, to następna seria nonsensów, czego ilustracją był cytowany powyżej przykład Luksemburga. Kryteria "pomocy

regionalnej" są bowiem takie, że w razie nieosiągnięcia przez jakiś obszar kraju członkowskiego 75 procent średniej w Unii, kwalifikuje się on do wsparcia z jej budżetu. Skutek tego jest taki, że najbogatszy kraj Unii, Luksemburg, korzysta właśnie z takiej pomocy, jako że jedna z jego części ma akurat przejściowe trudności. Tym właśnie tłumaczy się wspomniany już powyżej "luksemburski dziwoląg" w postaci 3-krotnie większego odzysku niż wkładu do unijnego budżetu.

Tego rodzaju "kwiatki", choć nie one są główną przyczyną spadającej popularności kontynuowania "integracji europejskiej", odbijają się potem echem przy różnych okazjach głosowania powszechnego i badań opinii publicznej. Jeszcze kilka lat temu prawie 75 procent ludności krajów członkowskich Unii było do niej przychylnie nastawionych, podczas gdy

dzisiaj tylko 47 procent, czyli większość jest jej przeciwna, lub w najlepszym wypadku obojętna. Austria i Szwecja zaliczają przystąpienie do Unii i gdyby wyborcy mieli dzisiaj okazję, to mogliby odrzucić przynależność do niej. We Francji z kolei, ledwie połowa ludności udziela jej poparcia, a w Niemczech, według sondaży opinii publicznej, aż 2/3 ludności jest jej przeciwna. Anglicy wreszcie, mimo że ogólnie Unie popierają, to jednakże nie chcą żadnego pogłębiania procesów

integracji, grozących podkopaniem suwerenności narodowej.

Integracja zachodnioeuropejska, której zewnętrznym wyrazem jest Unia, wywołuje wreszcie szereg innych refleksji.

Czy jej dotychczasowy efekt jest korzystny dla krajów uczestniczących w tym procesie, czy może właśnie negatywny?

Odpowiadając na to pytanie tylko na podstawie tempa wzrostu gospodarczego tych krajów w ostatnim 40-leciu - wniosek jest negatywny, chociaż można spierać się czy nie byłoby jeszcze gorzej pod nieobecność procesu integracyjnego.

A co do tempa rozwoju, to w latach 1960-tych wynosiło ono w krajach Unii 4,8 procent średniorocznie, w latach 1970-tych spadło do 3 procent, w latach 1980-tych spadało nadal, wynosząc 2,4 procent, a w latach 1991-1997 obniżyło się jeszcze do 1,7 procent. Wynikałoby stąd, że tempo rozwoju w krajach Unii spadało w miarę pogłębiania się integracji, wniosek dość kłopotliwy dla jej entuzjastów. W USA w ciągu dwóch miesięcy stworzono więcej miejsc pracy, niż w Unii w ciągu ubiegłego 10-lecia!

W sytuacji, gdzie w Unii jest 18 milionów bezrobotnych, a według niektórych danych nawet 25 milionów, tego rodzaju obraz sytuacji nie pomaga jej pozytywnemu wizerunkowi.

W obliczu takich faktów zrozumiałe jest, że "euroentuzjasci" nie cieszą się popularnością, podczas gdy takie określenia jak "eurosceptycyzm" i "eurosclerosis" stają się w Unii coraz popularniejsze. Zwolenników rozszerzania się Unii w kierunku wschodnim i południowym jest też coraz mniej, a gdy do opinii publicznej dotrą jeszcze koszty tego przedsięwzięcia, to może z czasem zniknąć zupełnie.

Bezpowrotnie będą też czasy takich "Europejczyków" jak Francuzycy architekci integracji w osobach Jean Monnet i Roberta Schumanna, czy Niemiec jej promotorzy, jak Konrad Adenauer i Walter Hallstein, a wreszcie tacy aktywni jej propagatorzy, jak belgijski Henri Spaak, luksemburski Joseph Bech, czy włoski Alcide De Gasperi. Jeden z ostatnich wielkich "Europejczyków", długoletni francuski prezydent François Mitterand, odszedł niedawno już na zawsze, a następnym, niemiecki "wieczny" kanclerz Helmut Kohl, jeśli przegra we wrześniu 1998 r. wybory, będzie bodajże ostatnim z tej serii.

**Reasumując, idea integracji regionalnej, w "globalizującym się" świecie, przy bardzo silnych i nadal rosnących "patriotyzmach lokalnych", które zagrażają nawet jedności państw narodowych, jak to ma miejsce we Włoszech, nie cieszy się popularnością. A w każdym razie nie w stopniu gwarantującym jej sukces. W przypadku poprawy koniunktury i spadku bezrobocia, plagi nieznanego dotąd w takiej skali w powojennej Europie Zachodniej, stosunek ten może oczywiście ulec zmianie na lepsze. W przypadku jednak jej pogarszania się i wzrostu bezrobocia, a nade wszystko przyspieszonego demontażu "społecznej gospodarki rynkowej", dorobku zarówno lewicy jak i prawicy w tym regionie, idea integracji europejskiej padnie tego ofiarą, a w konsekwencji tego egzystencja Unii Europejskiej stanie pod znakiem zapytania.**

### 3. Polska w NATO

W świetle powyższych wywodów, problem polskiego członkostwa w NATO, zmusza do głębszych refleksji.

Do NATO, przede wszystkim, nie wstępuje się bez jego wyraźnego zaproszenia.

Tak na przykład, kiedy 6 lipca 1948 r. piątką sygnatariuszy Paktu Brukselskiego rozpoczęła rozmowy z USA i Kanadą na temat powołania do życia NATO, to po osiągnięciu wstępnego porozumienia, 15 marca 1949 r. zaproszono jeszcze Danię, Islandię, Norwegię, Portugalię i Włochy, traktując je jako jego współzałożycieli. Potem, 17 października 1951 r., zaproszono do członkostwa w NATO Grecję i Turcję, podpisując z nimi po pięciu dniach negocjacji protokół o akcesji, który po ratyfikacji wszedł w życie 18 lutego 1952 r. Niemcom Zachodnim z kolei, 23 października 1954 r., zaproponowano członkostwo w NATO. Po krótkich negocjacjach oraz ratyfikacji porozumienia, kraj ten został jego członkiem 5 maja 1955 r. Z Hiszpanii wreszcie, NATO, tuż po jej zaproszeniu, w dniach 11-12 grudnia 1981 r. przeprowadziło "ekspresowe" negocjacje, podpisując protokół o akcesji, który po ratyfikacji wszedł w życie 30 maja 1982 r.

I oto, ta tradycyjna już procedura akcesji do NATO, z powodów niezbyt jasnych, została radykalnie zmieniona w

przypadku Polski, Republiki Czeskiej i Węgier. Krajów tych nikt bowiem do NATO nie zapraszał. Przeciwnie, do połowy 1993 r. NATO zachowywało kłopotliwe milczenie na ich "odzywki", a nawet miejscami jakby je zniechęcało do pukania do jego drzwi.

Niecodziennosc sytuacji wynikała także i stąd, że żaden z kandydatów do NATO nie twierdził, iż grozi mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz, zwłaszcza ze strony Rosji, nie mówiąc już o tym, że Republika Czeska nawet nie graniczy z żadnym z krajów b. ZSRR. Zresztą, NATO o żadnym zagrożeniu nie chciało nawet słyszeć! Po zawarciu w dniu 19 listopada 1990 r. Paryskiego Porozumienia w sprawie redukcji sił konwencjonalnych NATO i układu Warszawskiego w Europie, CFE w angielskim skrócie, było już pewne, że większej wojny na jej kontynencie nie będzie, a w każdym razie nie pomiędzy Wschodem a Zachodem. Ten nowy stan rzeczy znalazł następnie swój wyraz na rzymskim szczycie NATO, odbytym w dniach 4-7 listopada 1991 r., w przyjętej "Nowej Koncepcji Strategicznej", która otwarcie już wykluczała konfrontację zbrojną w Europie, przyjmując "Deklarację o Pokoju i współpracy" oraz tworząc NACC, Północnoatlantycka Rada współpracy, do której weszły kraje NATO i układu Warszawskiego.

Po rozpadzie ZSRR, wylaniająca się "nowa Rosja" uznano bardzo szybko za kraj demokratyczny i prawie o gospodarce rynkowej, wobec czego zniknęły przesłanki ideologiczno-polityczne dla konfliktu zbrojnego. Amerykański prezydent Clinton i rosyjski prezydent Jelcyn przeszli na "ty", podobnie jak Jelcyn z kanclerzem Kohlem. Zamajaczyły się również perspektywy przejścia na partnerskie, a nawet strategiczne stosunki amerykańsko-rosyjskie. I nic dziwnego, że tak właśnie zaczęła się rozwijać sytuacja. NATO, USA w szczególności, na których spoczywa główny obowiązek obrony Zachodu, wiedza przecież doskonale, że Rosja, mając olbrzymi arsenał broni masowej zagłady, przed którą jak dotąd nie ma obrony, jeśli zechce, to może zniszczyć swoich potencjalnych przeciwników w ciągu niecałej godziny... A że w odwecie również ona może być zniszczona, to mała stąd pociecha.

NATO więc, USA przede wszystkim, robi co może, żeby Rosję jakos "ugłaskać", przysmykając nawet oczy na jej anomalie i ekscesy, gdyż alternatywa jest już tylko nuklearny holocaust. Takie stanowisko ma jednak określone konsekwencje. Kraje NATO, traktując Rosję w sposób wyjątkowy, pompują w nią kapitały na wielką skalę. W ciągu ostatnich 7-miu lat wpompowano w nią prawie 100 mld. dolarów, a zanoszą się na jeszcze więcej. Rosja, wiedząc o swojej "wyjątkowości", bierze beztrąsko co jej Zachód daje, otrzymywanych sum nie zwraca, wyciągając rekę po nowe, a otrzymywane wywozi za granicę, uczestnicząc na własną rekę i wspólnie z "narkobiznesem", w międzynarodowej spekulacji finansowo-walutowej.

Czołówka krajów zachodnich zaś, G-7, Grupa Siedmiu, składająca się z USA, Japonii, Niemiec, Francji, Anglii, Włoch i Kanady, jakby tego nie tylko nie widziała, ale jeszcze chciała podkreślić "wyjątkowość" Rosji poprzez doproszenie Rosji do swojego grona w maju 1998 r.! Tym samym Rosja została Zachodem, w dodatku jego "smietanka", członkiem ekskluzywnego klubu...

W tych okolicznościach, członkostwo Polski w NATO, prawdę mówiąc, wygląda dość niecodziennie. Gdzie bowiem ma ona teraz szukac schronienia i przed kim właściwie? przecież dookoła niej sami tylko "przyjaciele"! A co do schronienia, to istotnie, w Traktacie Waszyngtonskim, na którym zbudowane jest NATO, jest formalnie takie schronienie, a mianowicie jego Artykuł 5, który mówi, że agresja przeciwko jednemu z jego członków jest agresją przeciwko nim wszystkim. Nie bardzo jednak wiadomo co konkretnie miałyby z tego wynikać. Odpowiedz na agresję, w myśl Artykułu, może być bowiem kolektywna lub indywidualna, ale takiego obowiązku właściwie nie ma, ani nie musi on być wyłącznie natury wojskowej. W sytuacji kiedy NATO przechodzi od "kolektywnej obrony" do "kolektywnego bezpieczeństwa", co znalazło już wyraz w Kartce NATO-Rosja, obowiązek ten stał się jeszcze bardziej wątpliwy. A jeśli jeszcze zważyć, że ten dość enigmatyczny Artykuł ma być podobno anulowany, lub zasadniczo zmieniony, na waszyngtonskim szczycie NATO w kwietniu 1999 r., przy okazji uchwalania kolejnej Koncepcji Strategicznej, więc zatracenie przezeń charakteru wielostronnego sojuszu wojskowego jest tym bardziej prawdopodobne.

A tak na marginesie tego problemu, to dla bezpieczeństwa zewnętrznego Polski bez porównania większą wartość od tych w NATO, miałyby gwarancje udzielone przez USA, jak to ma miejsce z Japonią, Koreą Południową i Izraelem. Polska jednakże ani takich gwarancji nie poszukiwała, ani też USA nigdy ich nie proponowały. Brak zainteresowania USA takimi

gwarancjami ma swoje głębsze przyczyny. Opinia publiczna w USA bowiem, która w 65-ciu procentach przychylna jest członkostwu Rosji w NATO, nie uważa już Europy jako obszaru żywotnie ważnego dla bezpieczeństwa kraju. Podobnego zdania jest Kongres USA. Administracja wreszcie, kierując się "doktryną Clintona", ogłoszona przez prezydenta 27 września 1993 r. z trybuny 48 sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, mówi ponadto o rozszerzaniu demokracji na wschód, a nie zadnego NATO!

Prezydent Clinton wreszcie, na spotkaniu w początkach marca 1994 r. z działaczami amerykańskimi pochodzenia wschodnioeuropejskiego, mówił o bezpieczeństwie tego regionu, a nie jego obronie jako leżącym interesie USA.

**Polska zatem, mimo członkostwa w NATO, w przypadku agresji Rosji, może nie doczekać się żadnego solidarnego wsparcia wojskowego z jego strony, gdyż USA nie są na to zdecydowane.**

Czy Polska, jej władze w szczególności, wprawiając się do NATO, nie wiedziały o tym, czy nie chciały wiedzieć, czy wreszcie kierowały się jakimiś względami, których nigdy narodowi nie wyjaśniły?

Oczywiście, Polska, doświadczona skutkami złego sąsiedztwa, w sytuacji nie zapraszania jej do korzystnych dla niej sojuszy, powinna nawet sama wpraszać się do nich.

W polskich realiach jednakże, coś takiego musi być robione z "głową", a nie lapu-capu i w aurze kłopotliwych niedomowień w dodatku.

Najpierw przecież, po powstaniu III RP, zaczęto coś mówić o "zbrojnej neutralności", ale dość szybko ją zarzucono na rzecz "zachodniej opcji", czyli oparcia w NATO, Unii Europejskiej i Unii Zachodnioeuropejskiej.

I rzeczywiście, polska "zbrojna neutralność", w sytuacji gdzie wydatki na obronę narodową są ponad dwukrotnie mniejsze niż od niemal 4-krotnie mniejszej Szwecji, która w dodatku nie graniczy z żadnym potencjalnym agresorem, są wręcz śmieszne. Niemcy, sąsiad Polski, wydają ponad 13-krotnie więcej od niej na obronę, a Rosja ok. 30-krotnie!

Polska zatem, nawet zwiększając swoje wydatki na obronę 10-krotnie, rzecz gospodarczo niemożliwa, o żadnej "zbrojnej neutralności" marzyć więc nie może. Albo będzie po prostu neutralna, nie "zbrojnie neutralna", albo musi poszukiwać skutecznych sojuszy na zewnątrz.

Decyzja w tej sprawie została podjęta, znajdując swój wyraz 2 listopada 1992 r. w dwóch dokumentach roboczych prezydenckiego BBN, Biura Bezpieczeństwa Narodowego, nazwanych szumnie "doktryna obronna".

Tego rodzaju stanowisko jednakże jest niezrozumiałe, jeśli wręcz nie niebezpieczne, w świetle podjętych przez Polskę zobowiązań przy okazji podpisywania protokołu o rozwiązaniu układu Warszawskiego. Polska bowiem zobowiązała się, podobnie jak wszyscy inni jego dawni członkowie, do nie przystępowania do żadnego innego sojuszu, który zagroziłby któremukolwiek z nich. Skoro w dodatku Rosja od początku formalnie sprzeciwiała się przystępowaniu b. członków

układu Warszawskiego do NATO, to sprawa jest tym bardziej poważna.

Czyżby to właśnie było powodem "lamanców myślowych" prezydenta Walesy, który raptem, mówiąc niby o woli Polski wejścia do NATO, zaczął opowiadać o NATO-bis, określeniu nigdy przez niego nie zdefiniowanym i wywołującym w świecie sporo zamieszania?

A sprawa jest bardzo poważna w świetle istniejących wokół Polski realiów. Na odbytym w Moskwie posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w dniu 23 kwietnia 1993 r., Rosja potwierdziła istnienie w Europie Środkowej i Wschodniej swojej strefy wpływów, nazywanej strefą "historycznego zainteresowania", lub po prostu "nasza strefa". Co więcej, kategorycznie też

zapowiedziała, że strefy tej będzie bronić, a ponieważ jej doktryna wojenna z 3 listopada 1993 r. wyraźnie stwierdza, że w razie potrzeby pierwszą sięgnie do broni nuklearnej, więc sprawa wygląda groźnie. Oświadczenia z 16 maja 1997 r. marszałka Jewgienija Szaposznikowa, doradcy wojskowego Jelcyna, że Rosja będzie używać "nuklearnej palki" w obronie swoich interesów, nie można sobie lekceważyć.

W tych okolicznościach, przy braku zachęty ze strony NATO, nie mówiąc już o braku jego zaproszenia, pukająca do jego drzwi Polska postawiła się we wręcz podejrzanym świetle.

Podejrzanym dlatego, że to Moskwa przecież, prowadząc wojnę "polityczno-dyplomatyczną" z NATO, pierwszą zapukała do jego drzwi! Nie poszukując w nim członkostwa co prawda, ale niemniej jednak. Od wizyty w Kwaterze NATO w Brukseli, w dniu 19 grudnia 1989 r., sowieckiego ministra spraw zagranicznych Eduarda Szewardnadze, zaczęły się bowiem

bezpośrednie kontakty i wizyty pomiędzy obu blokami polityczno-wojskowymi, o czym warto pamiętać.

Polska, która ani nie była pierwsza, ani zbyt aktywna w dobijaniu się do drzwi NATO, raptem wyszła z jakichś niejasnych powodów na czoło, dobijając się do nich najgłośniej. Albo raczej jasnych, gdyż to zwycięska lewica po wyborach do Zgromadzenia Narodowego w 1993 r. i prezydenckich w 1995 r. czyniła tu najwięcej szumu, choć tuż przedtem jeszcze miała diametralnie odmienne poglądy w tej sprawie.

Wśród wielu epizodów towarzyszących temu dobijaniu się, jeden zasługuje na szczególną uwagę, a mianowicie rozmowy Jelcyn-Walesa w Warszawie. W Warszawie, Jelcyn złożył bowiem 25 sierpnia 1993 r. oświadczenie, zgadzając się jakoby na przystąpienie Polski do NATO. W rzeczywistości zgody takiej nie tylko nie wyraził, ale jeszcze sprawę wyjątkowo skomplikował. NATO zaś, zachęczone rzekoma zgodą Jelcyna, zaczęło już głośno mówić o swoim "rozszerzaniu się na wschód", dokąd raptem nie zostało "polane" zimna woda. Jelcyn, pod pretekstem "wyjaśniania" swojego warszawskiego oświadczenia, poinformował poufnym listem z końca września 1993 r.

Waszyngton, Paryż, Londyn i Bonn, co naprawdę miał na myśli. Po prostu, poinformował on główne natowskie stolicy o moskiewskich porozumieniach z 12 września 1990 r., w sprawie zjednoczenia Niemiec, w których zresztą brały udział. A w Moskwie ustalono wtedy, że co prawda zjednoczone Niemcy będą członkiem NATO, ale na terytorium b. NRD nie będzie wojsk obcych, podczas gdy ograniczony kontyngent Bundeswehry nie będzie miał broni ofensywnych.

List Jelcyna przypominał więc, że "wojskowe NATO" ma zatrzymać się na Łabie, jak to było dawniej, podczas gdy "polityczne NATO" może ewentualnie iść sobie na wschód, pod pewnymi warunkami oczywiście.

Stolice zachodnie, tak sprecyzowane stanowisko Moskwy, milczaco akceptowały. Odtąd już, Polska, Republika Czeska i Węgry, mogły już wstępować do NATO, do jego "struktury politycznej" faktycznie, czemu Moskwa nigdy nie oponowała, sprzeciwiając się jedynie przystępowaniu do jego "wojskowej struktury".

NATO, tym razem już nie milczaco, powyższe stanowisko Moskwy potwierdziło wkrótce, co znalazło swój konkretny wyraz w jego decyzjach. W Brukseli, na spotkaniu rady ministerialnej NATO, w dniu 11 grudnia 1996 r., oświadczone bowiem, że na terytorium nowych jego członków nie planuje się, ani nie ma do tego powodów, rozmieszczać broni nuklearnej obecnie i "w przyszłości". Stanowisko to potwierdzone zostało przez Radę NATO w dniu 14 marca 1997 r., która dodatkowo rozszerzyła decyzję brukselską zobowiązaniem, że na terytorium tych

krajow nie bedzie rowniez wiekszych natowskich sil konwencjonalnych. Na koniec, zeby juz Moskwe uspokoic calkowicie, w Karcie NATO-Rosja z 27 maja 1997 r. wszystko to zapisano jeszcze raz.

Tego rodzaju sytuacja zmusza do glebokich refleksji.

**Czlonkostwo bowiem Polski w NATO, a w pewnym stopniu takze w Unii Europejskiej, moze miec sens tylko wtedy, jesli ma ono na celu jej wyjscie z rosyjskiej strefy "historycznego zainteresowania" oraz uchronienie sie przed ewentualnym przymusowym do niej powrotem.**

**W tłumaczeniu na jezyk praktyczny, w polskich realiach, musi to oznaczac stacjonowanie na terytorium Polski znacznych kontyngentow wojskowych NATO, glownie amerykanskiego, angielskiego i francuskiego, wyposazonych w taktyczna bron nuklearna.**

Sily takie bylyby nie tylko konieczne do odpierania ewentualnej agresji ze wschodu i polnocy, ale ponadto bylyby swoistym "zastawem", dla obrony ktorych to sil ich panstwa macierzyste musialyby wejsc w stan wojny z agresorem. W przeszlosci Niemcy Zachodnie zabiegaly o taka wlasnie obecosc natowskich wojsk na swoim terytorium, amerykanskich zwlaszcza, zeby miec pewnosc wejscia USA do wojny nie tak dla obrony niemieckiego sojusznika, jak swoich wlasnych wojsk.

Polska jednakze nigdy nie domagala sie stacjonowania wojsk NATO na swoim terytorium, ani tym bardziej wyposazonych w bron nuklearna.

NATO ze swojej strony tez tego nigdy nie chcialo, co najwyzej cos tam przebakujac o przystosowaniu "polskiej infrastruktury obronnej" wedlug jego standardow na wypadek potrzeby. "Infrastruktura", zwiekszajaca tzw. Kompatybilnosc i interoperacyjnosc polskich i natowskich sil zbrojnych, zapewne kosztowna w wykonaniu, moze byc nieprzydatna w praktyce.

**Trzeba bowiem nie miec wyobrazni, zeby cos takiego brac powaznie, w sytuacji, gdzie potencjalny agresor doslownie "wisi" nad swoja ewentualna ofiara, majac w dodatku ponad dwukrotnie wiecej broni nuklearnej, niz trzy nuklearne mocarstwa natowskie razem wziete!**

Czy ktos ponadto naprawde sadzi, ze starczyloby czasu na korzystanie z takiej "infrastruktury"?

Jak mozna sobie wyobrazic ladowanie transportowych samolotow NATO z wojskami i sprzetem bojowym pod ogniem rosyjskich rakiet z nuklearnymi glowicami?

**A czy moze Polska domagala sie przynajmniej przyspieszonej i kompleksowej modernizacji swoich wlasnych sil zbrojnych przy finansowej i technicznej pomocy NATO?**

**Nie, tego tez nie domagala sie, twierdzac, ze ja sama stac na wszystko!**

Czyzby naprawde? Armia 2012", czyli polskie sily zbrojne w 2012 r., liczace tylko 180 tysiecy zolnierzy i oficerow, po wydatkowaniu 10 mld. dolarow na jej modernizacje w ciagu najblizszych 15-tu lat, bedzie przeciez nadal bardzo slaba!

A co do NATO, to swoj sprzet bojowy, bardzo drogi zreszta, chetnie nawet sprzedaloby Polsce, ale za gotowke, albo w ostatecznosc w kredycie handlowym.

**Co wiecej, NATO zgadza sie nawet na zakup przez Polske sprzetu bojowego w ... Rosji! A zatem, czyzby w ten sposob NATO potwierdzalo przynaloznosc Polski do "rosyjskiej strefy"?**

**Ktoz to bowiem na swiecie kupuje bron u swojego potencjalnego przeciwnika? A jesli to nie przeciwnik, tylko przyjaciel, to do czego Polsce czlonkostwo w NATO?**

A moze sprawy maja sie lepiej z wyrwaniem Polski ze "strefy" poprzez przeciecie jej tajnopajeczynowych ukadow, czyli oczyszczenia sluzb specjalnych od dawnych i obecnych powiazan z ich moskiewskimi siostrami?

Alez gdzie tam! W NATO istnieje co prawda wspolpraca sluzb specjalnych, ale obowiazku takiego nie ma i w koncu moze byc i tak, jak to podal niemiecki tygodnik "Der Spiegel" z 6 kwietnia 1998 r., ze polskie sluzby specjalne, zamiast wyzwalac sie z "dawnych ukadow", beda nadal aktywnie szpiegowac przeciwko ... krajom NATO!

W zwiazku z tym trzeba postawic zasadnicze pytanie: czy czlonkostwo Polski w NATO ma sluzyc jej interesom, czy jakim innym? I czym faktycznie ma byc polskie czlonkostwo w NATO?

Gdyby bowiem mialoby to byc tylko jakies "papierowe czlonkostwo", stwarzajace jedynie iluzje zewnetrznego bezpieczenstwa Polski, to jest ono bezsensowne, a nawet wysoce niebezpieczne. Rosja bowiem, aczkolwiek sama moze zachecac Polske do wchodzenia do NATO, moze uzyc tego pretekstu do "ukarania" jej w momencie, ktory uzna za stosowny. Nie nalezy zapomnac co mowil 23 listopada 1993 r., na specjalnie zwolanej konferencji prasowej, Jewgienij Primakow, wowczas szef SWR, rosyjskiego niewojskowego wywiadu, a dzis minister spraw zagranicznych, w zwiazku z zamiarami NATO "rozszerzania sie na wschod". On po prostu grozil bronia nuklearna, szczegolnie tym krajom, ktore stalyby sie jego nowymi czlonkami!

Czy wobec tego czlonkostwo Polski w NATO, ktore najprawdopodobniej stanie sie faktem juz w kwietniu 1999 r., rozwiazuje cos z jej dylematow zewnetrznego bezpieczenstwa?

Na to pytanie nie mozna jeszcze odpowiedziec. Dopiero czas pokaze na ile czlonkostwo to rozwiazalo dawne dylematy tego bezpieczenstwa, a na ile stworzylo nowe.

#### **4. Polska w Unii Europejskiej**

Czlonkostwo Polski w Unii Europejskiej, aczkolwiek niemozliwe bez czlonkostwa w NATO, jest od niego z wielu wzgledow trudniejsze, niepewne przede wszystkim.

Ponadto, czlonkostwo Polski w Unii, nie tak jak w NATO, stawia na porzadku dziennym sprawe suwerennosci,

gdyż ugrupowanie to jest o ponadnarodowym charakterze już obecnie, a jutro może nim być jeszcze bardziej. Czy Polacy biorą ten aspekt akcesji do Unii pod uwagę - można mieć wątpliwości. Ze wszystkich oficjalnych wypowiedzi elit rządzących nie wynika bowiem, że tak właśnie jest, podczas gdy szeroka opinia publiczna, pomijając jej sporadyczne sondáže, albo nie wypowiada się na ten temat, albo tylko nieliczne jej odłamy gwałtownie demonstrują swoje nieprzychylnie Unii postawy. W sumie jednak, choć sprawa jest o żywotnym znaczeniu dla Narodu i Państwa Polskiego, nie może się ona jakos doczekać poważnej debaty ogólnonarodowej, która wyjaśniłaby wreszcie społeczeństwu co naprawdę oznacza akcesja do Unii Europejskiej.

Czy słuszne jest stwierdzenie, sformułowane na wstępie, że bez członkostwa Polski w NATO członkostwo w Unii Europejskiej byłoby niemożliwe?

W Unii, ktoś może powiedzieć, są przecież kraje, jak Austria, Finlandia, Irlandia i Szwecja, które nie są członkami NATO, a nawet nie chcą nimi być.

W przypadku Polski, podobnie jak innych krajów b. "wspólnoty socjalistycznej", kandydujących do Unii, sytuacja jest jednak odmienna, nieporównywalna z tamtymi krajami. Kraje członkowskie Unii, nie należące do NATO, nie tak jak kraje b. "wspólnoty socjalistycznej", nie były nigdy w "sowieckiej strefie wpływu", ani nie są dziś w rosyjskiej.

Z tego też powodu drogę do Unii miały otwarte, nie mówiąc już o tym, że zawsze były uważane za zachodnie, czego nie można powiedzieć o Polsce, która sama uważa się za kraj zachodni, ale inni tak nie myślą.

Bez przynależności więc do NATO, bez jego "świadectwa moralności", potwierdzającego wyjście Polski z "rosyjskiej strefy", albo dla odmiany potwierdzającego jej ... dobre stosunki z Rosją, członkostwo jej w Unii Europejskiej jest niemożliwe. Unia po prostu nie będzie pogłębiać swojej integracji z krajem, pozostającym pod bardziej czy mniej widoczną kontrolą Rosji, która w ostatecznym rachunku będzie decydować o jego losach. Chyba, że Rosja wejdzie do NATO oraz będzie mieć przyjazne i pogłębione stosunki z Unią, rzecz całkiem możliwa w przyszłości.

Z drugiej strony, członkostwo Polski w NATO może, ale nie musi zapewnić jej członkostwa w Unii. Nie chodzi tylko o to, że łatwiej dostać się do NATO z przestarzałymi czołgami, niż z "zaco fanym rolnictwem", ale chodzi o wiarygodność tego członkostwa. Jeśli w NATO członkostwo Polski będzie tylko "papierowe", albo co gorsza padnie na nią podejrzenie

jakieś podwójnej "misji", to nie pozostanie to bez wpływu na stosunek Unii do niej. Nie należy bowiem zapominać, że 11 członków Unii jest równocześnie członkami NATO.

Ale, nawet pod nieobecność tego rodzaju komplikacji, członkostwo Polski w Unii Europejskiej jest nadal sprawą niezwykle skomplikowaną, prawdopodobnie dość odległą w czasie, a nade wszystko niepewną co do pozytywnego finału.

Czy w tej sytuacji nie lepiej nie wykazywać podniecenia i spokojnie podchodzić do tego członkostwa? Skąd ten pośpiech i wręcz obsesja, że musi ono nastąpić już w 2000 r., albo tuż potem?

Prawda, z handlowo-gospodarczego punktu widzenia, w chwili obecnej nadrzędnej, akcesja Polski do Unii wydaje się być sprawą palącą i nieodwołną, aczkolwiek bliższa analiza wszystkich "za" i "przeciw" prowadzi do mieszanych konkluzji.

W wymianie handlowej Polski ze światem zewnętrznym, Unia zajmuje bezapelacyjnie czołowe miejsce. Az 70 procent polskiego eksportu w 1997 r. kierowało się na jej rynek i stamtąd pochodziło 74 procent polskiego importu. Unia Europejska więc, to handlowe "być albo nie być" dla Polski. W obrotach towarowych z Unią bowiem, już od lat istnieje olbrzymi deficyt handlowy. Polski eksport do Unii wyniósł w 1997 r. tylko 18,4 mld. dolarów, podczas gdy import 31,1 mld. dol., w efekcie czego deficyt osiągnął sumę 12,7 mld. dolarów, ok. 77 procent ogólnego deficytu handlowego Polski.

Deficyt płatniczy z tego powodu nie zalał się co prawda, gdyż z Unii płynie kapitał do Polski, ale jeszcze nie jest zupełnie pewne, czy to dobrze czy źle jeśli przyczynia się on do ekspansji produkcji polskiej, przy tym w towarach o dużej wartości dodanej, to dobrze jeśli natomiast zwiększa tylko popyt na importowane produkty, zwłaszcza konsumpcyjne, albo rozwija produkcje o małej wartości dodanej, czy wreszcie dusi polską konkurencję, to napływu taki graniczy z nieszczęściem narodowym.

Jeszcze większym nieszczęściem byłby dla Polski wzmożony napływ kapitału krótkoterminowego, spekulacyjnego, który może podciąć ją podobnie, jak to już uczynił w innych miejscach globu ziemskiego.

Osobny problem stosunków handlowo-gospodarczych Polski z Unią, stanowią Niemcy. Wśród krajów Unii poważnym one dominującym partnerem handlowym Polski, jak też dominującym w jej globalnych obrotach. W zależności od roku, na Niemcy przypada niemal połowa polskich obrotów z "Pietnastką" i średnio jedna trzecia obrotów w ogóle.

Z tego też powodu Polska musi coś zrobić w swoich stosunkach gospodarczych z Unią, a przy okazji z Niemcami, gdyż obecny stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność.

Czy akurat to "cos" powinno oznaczać przystąpienie Polski do Unii, to już inna sprawa. I tak Polska, z czapką w ręku, coś tam istotnie zaczęła robić, co znalazło swój wyraz, po dłuższych i skomplikowanych negocjacjach, w podpisaniu 16 grudnia 1991 r. porozumienia o "członkostwie stowarzyszonej" z EWG/Unią, zresztą niezbyt dla niej korzystnego. Poteżny partner, w którego imporcie Polska nie ma nawet 1 procenta udziału, bronił się jak mógł przed rzekomym zalewem swojego rynku jej towarami, w zamian zadając wolnego dostępu do jej rynku dla swoich



towarow.

Co gorsza, we wstepie do porozumienia, mimo naciskow strony polskiej, EWG/Unia nie zgodzila sie nawet na wzmianke o mozliwosci przejścia Polski z czlonkostwa stowarzyszonego do czlonkostwa pelnego. Procedura ratyfikacji porozumienia wreszcie, tez trwala bardzo dlugo, do 1 lutego 1994 r., co swiadczylo o braku entuzjazmu Unii do kraju, który garnal sie do jej łona jak mogl...

W koncu, cos w EWG/Unii drgnelo. Na jej kopenhaskim szczycie w czerwcu 1993 r., zdecydowano w "zasadzie" otworzyc drzwi dla kandydatow z Europy Srodkowej i Wschodniej.

Polska, korzystajac z tej nowej sytuacji, w dniu 5 kwietnia 1994 r. zlozyla aplikacje o pelne czlonkostwo w Unii, co po dluzszych "przepychaniach", skonczylo sie formalnym rozpoczeciem w dniu 31 marca 1998 r. "procesu negocjacyjnego", który w najblizszych latach powinien byc sfinalizowany.

Z jakim zas skutkiem - tego nikt nie wie. Ledwie bowiem negocjacje rozpoczeto, a juz tempo ich slabnie.

Negocjacje polsko-unijne, ze wzgledu na ich wyjatkowa zlozonosc, trudno omowic w najwiekszym chocby skrocie, ale na niektore ich aspekty nalezy zwrocic uwage.

Po pierwsze, Unia negocjuje nie tylko z Polska, ale jeszcze z 5-cioma innymi krajami, a mianowicie Cyprem (grecka czescia wyspy), Estonia, Republika Czeska, Slowenia i Wegrzami, czyli 65-milionowa grupa panstw o roznych tradycjach i poziomie rozwoju.

Grupa ta, co gorsza, nie jest jedyna, gdyz Unia w miedzyczasie trzyma na "ogniu" piec innych krajow, Bulgarię, Litwe, Lotwe, Rumunie i Slowacje, nastepna ponad 40-milionowa grupe, która w uzyskaniu czlonkostwa moze nawet "przeskoczyc" ta pierwsza.

Fakt, ze Unia rozpoczela negocjacje o akcesje praktycznie z 11-tka krajow, a wsrod nich z Polska, jest niekorzystny dla perspektyw jej akcesji. Unia nie moze bowiem robic zadnych wyjatkow w traktowaniu poszczegolnych kandydatow do jej szeregow. Co gorsza "inwazja" Unii przez co najmniej 65 milionow nowych "dusz", a moze nawet 105-107 milionow, nie wywoluje entuzjazmu wsrod jej mieszkancow. Jesli chodzi o Polske, to tylko ok. 47 procent ankietowanych mieszkancow Unii jest przychylnie jej akcesji (bardziej popularni powaznym Czesi i Wegrzy). Niemcy, najwazniejsi w Unii, tylko co 33-ci sa przychylni polskiej akcesji do Unii, podczas gdy polowa jest otwarcie jej nieprzychylna.

Po drugie, fakt przystepowania do Unii "biedakow", w stopniu i na skale dotad nieznana, stwarza nowe i trudne dla Unii problemy. Oficjalnie, Polska ma bowiem tylko nieco ponad 15 procent sredniej poziomu dochodow w Unii, a uwzgledniajac sile nabywacza zlotego, nie wiecej niz 30-33 procent, co stwarza ogromne trudnosci w znalezieniu wlasciwych rozwiazan w dziedzinie pomocy dla niej. Nawet Grecja, najbiedniejsza w Unii, jest ponad dwukrotnie bogatsza od Polski. Skoro na "czysto", bedac prawie 4-krotnie mniejsza ludnosciami od Polski, otrzymuje ona dzis srednio 4 mld. dol. pomocy od Unii rocznie, to ile powinna otrzymac Polska? przeciez nie 16 mld. dol. rocznie, gdyz o tym, a nawet o sumie o polowe mniejszej, nikt dotad w Unii nawet nie mowi!

Jak dlugo ponadto Polska bedzie doganiac Unie, zeby mozna zmniejszyc i w koncu wyeliminowac pomoc dla niej? Wyrownanie poziomu rozwojowego pomiedzy Polska a Unia, przy obecnym 6-procentowym polskim tempie rozwoju i 2-procentowym unijnym, a przeciez wcale tak nie musi byc, zabraloby ok. 30 lat... Takie prognozy, ewentualna pomoc Unii dla Polski i innych "biedakow" kandydujacych do niej, komplikuja niepomiernie. W rezultacie, poziom pomocy, tzw. strukturalnych funduszow, jest co najwyzej dopiero w zarysach i nie ma zadnej pewnosci, ze bedzie on szybko zatwierdzony, a konkretna pomoc nastepnie transferowana. Juz dzis jest przeciez pelno "haczykow", ktore taki transfer pomocy moga powaznie zmniejszyc, albo nawet wyeliminowac, a co dopiero mowic o przyszlosci, gdy przyjdzie do jej realizacji! W maju br. "haczyk" taki Polska juz odczula na swojej skorze, kiedy to Unia, z programu pomocy PHARE, nie tylko obciela ok. 38 mln. dolarow, ale jeszcze wysunela pod jej adresem szereg proceduralnych i innych pretensji. Wydarzenie to, bez precedensu w 8-letniej historii PHARE, moze byc przedsmakiem tego, co czeka Polske w przyszlosci.

Trzeba rowniez pamietac o tym, ze warunkiem uzyskania pomocy Unii jest tzw. wspolfinansowanie, czyli kraj-beneficjent musi udowodnic, ze z wlasnych srodkow chce sobie pomoc. A to tez moze byc nowym "haczykiem", gdyz zawsze mozna przeciez powiedziec, ze "damy wam 100 milionow dolarow, jak sami sobie dacie 1 miliard dolarow", rzecz czesto nie do przyjecia w praktyce. W efekcie tego Polska moze nic nie dostac...

Po trzecie, co juz wywoluje przerazenie w Unii, Polska ma ludnosc rolnicza rowna liczebnie ludnosci rolniczej w Niemczech, Anglii, Francji i Wloszech razem wzietych! Udzielanie takiemu rolnictwu pomocy z budżetu Unii, zwlaszcza w sytuacji stopniowego likwidowania "wspolnej polityki rolnej", juz dzis wywoluje panike w Brukseli, a jutro moze byc jeszcze gorzej.

Po czwarte, ani Polska, ani Unia, nie wiedza jak bedzie wygladac sytuacja za kilka lat, kiedy proces negocjacyjny zostanie zakonczony. Jesli Polska bedzie nadal dynamicznie rozwijac sie, a sytuacja polityczna bedzie stabilna, to co innego, ale w przypadku zalamania sie jej rozwoju, czy chaosu politycznego, nie mowiac o jakichs "napieciach niedobrosasiedzkich", rzecz bardzo mozliwa, to znow co innego. W Unii z kolei, moze wreszcie koniunktura poprawi sie, wobec czego bedzie ona mniej zaabsorbowana swoim bezrobociem, wynoszacym obecnie prawie 20 milionow, albo 25 milionow wedlug innych obliczen, jak tez bedzie miec wiecej pieniedzy w brukselskiej kasie na pomoc dla "biedakow". Ale przeciez rownie dobrze moze byc inaczej i Unia nie bedzie sobie zawracac glowy "biednymi krewnymi".

Po piate wreszcie, nikt w tej chwili nie wie jak dlugo potrwa omawiany proces negocjacyjny i czym sie on skonczy.

Z Hiszpania trwał prawie 7 lat. Możliwe, że z Polska będzie trwał krocej, ale kto to wie? I czym się on skończy? Może być przecież i tak, że będzie to, podobnie jak w NATO, kolejne "papierowe członkostwo", obwarowane klauzulami wyjątkowymi, które pozbawia go sensu.

Na tym nie koniec wszystkich kłopotów. Polska, co trzeba podkreślić, w obecnej fazie negocjacji, właściwie jeszcze nic nie negocjuje, gdyż oficjalnie jest to tylko "screening", przegląd polskiego "przystawania" do Unii w jej prawodawstwie. Konkretnie mówiąc, Polska musi z góry przyjąć niektóre wstępne warunki Unii, jej "wspólnotowy nabytek", *acquis communautaire*, który aktualnie liczy ok. 20 tysięcy różnych aktów prawnych, zapisanych na ponad 80 tysiącach stron.

I żeby na tym był koniec. Sama wspólna "polityka rolna" ma 35 tysięcy stron różnych uchwał i regul postępowania! Kto w Polsce przeczyta to wszystko dokładnie, co z tego zrozumie i co będzie w stanie z tym zrobić? Niby w przepisach prawnych w połowie "zgadzamy się" z Unią, ale pozostaje przecież druga połowa, a kto wie czy jeszcze ta pierwsza będzie przez brukselskich biurokratów, starych wygów, uznana za do przyjęcia. Dopasowanie polskich praw do unijnych, to proces długi, a wszelkie opóźnienia w tym względzie opóźniają proces akcesyjnych negocjacji. A w ogóle, to polsko-unijne negocjacje poważnym kolejnym i samym w sobie problemem.

Chodzi przede wszystkim o wzajemne traktowanie się stron. Jeszcze negocjacje nie zaczęły się na dobre, a już "zageszcila się" wokół nich atmosfera.

Funkcjonariusze unijni wytykają bowiem Polakom, że to nie oni przychodzą z propozycją przystąpienia ich ugrupowania do Polski, ale odwrotnie! Polacy dla odmiany twierdzą, jak to ostatnio "wykrzykiwał" poseł Tadeusz Mazowiecki w Brukseli, że nie będa z Unią negocjować na kolanach!

Skoro tak, to o co tutaj chodzi, o negocjacje, czy kłotnie, może już wkrótce pełne epitety?

Odnosnie epitetów, choć narazi tylko szeptanych, to jest to znowu osobna historia.

W kuluarach Unii źle mówi się o Polakach. Uważa się ich za aroganckich, niesolidnych, słabych fachowców, a nawet będących tylko w ... 3-ach procentach na poziomie "inteligencji europejskiej"! Jeszcze inni szeptają, że właściwie nie wiadomo kto w Polsce rządzi, a już głośno mówią, że 35-letni szef KIE, Komitetu Integracji Europejskiej, Ryszard Czarnecki, nie mówi

obcymi językami i nie ma dyplomatycznych kwalifikacji...

Innym problemem jest układ sił politycznych po obu stronach stołu negocjacyjnego.

W Polsce, formalnie przynajmniej, rządzi obecnie prawica. W Unii dla odmiany lewica. Tylko w Niemczech i Hiszpanii rządzi prawica, choć po wrześniowych wyborach w Niemczech na placu boju może pozostać tylko Hiszpania, prawdopodobnie też nie na długo. Prawica polska ponadto, to nie prawica w Unii, co dodatkowo komplikuje sprawę. Prawicowa niemiecka CSU, Unia Chrześcijańsko-Społeczna, aktualnie współrządzająca z CDU, jest przeciwna polskiemu członkostwu w Unii Europejskiej!

Polacy, którzy mają o swoich zasługach w obalaniu komunizmu przesadne wyobrażenie, podobnie jak o swoich chrześcijańsko-narodowych wartościach, którymi mogliby "zasilić" Unię, trafiają tam na nieprzyjazny grunt. Nikt też w Unii nie bierze poważnie tego, co mówi polski papież, że nie ma Europy bez Polski...

Niestety, tak jest i będzie, co Polacy muszą w końcu zrozumieć.

Przechodząc teraz do spraw bardziej "przyziemnych", trzeba wreszcie zdać sobie sprawę z tego co Polska może skorzystać, a co stracić, na członkostwie w Unii. W Polsce robi się nawet jakieś przymiarki pod tym względem, rachunki symulacyjne, ale przecież nikt nic dokładnie nie wie i nawet jeszcze wiedzieć nie może.

Unia, należy domyślać się, odpowiednio przymiarki już zrobiła. Dowodem tego jest fakt, że już na początku negocjacji odmawia Polsce prawa do eksportu nadwyżek siły roboczej, do czego jako członek Unii byłaby uprawniona. A wpływy z tego tytułu do polskiej kasy mogłyby być znacznie większe od wszystkich innych programów pomocy! Unia już teraz jest jednak nieustraszona, co faktycznie stawia pod znakiem zapytania jej dobrą wolę przyjęcia Polski w swoje szeregi.

Krótko mówiąc, wszędzie tam, gdzie Unia mogłaby naprawdę Polsce pomóc i to bardzo konkretnie, mówi twardo "Nie!", a jeśli tak, to wszystko inne może być przysłowiowymi obietnicami-cacankami...

Nie należy wreszcie zapominać, że Polska, wchodząc do Unii, dla sprostania jej standardom i rygorom, musi od zaraz ponieść olbrzymie wydatki, idące w miliardy dolarów. W sumie zapewne znacznie większe od ewentualnej pomocy unijnej, której może w końcu nigdy nie otrzymać.

Paliw płynnych musi mieć w zapasie 3-4 razy więcej niż obecnie, a to może ją kosztować ok. 1,5 mld. dolarów, musi sama wyłożyć. Na poprawę stanu dróg kołowych, żeby sprostać standardom Unii, musi przez najbliższe 15 lat wydawać co najmniej po 1,5 mld. dolarów rocznie, a na sprostanie rygorom ochrony środowiska naturalnego, zapewne jeszcze więcej.

Skąd Polska ma brać na to pieniądze? A skąd weźmie na przebudowę rolnictwa? Liczy na co najmniej 5 miliardów dolarów rocznie, ale przecież nie ma pewności, że tyle dostanie. A jeśli nawet dostanie, podnosząc wydajność w rolnictwie, pozbywając się przy okazji 2/3 chłopów, to kto i gdzie ich zatrudni, albo skąd znajdzie się zasilki dla nowych bezrobotnych?

Polska jest też pod naciskiem Unii "zrobienia porządków" na swojej wschodniej granicy.

Porządki te, to prawdopodobnie koniec handlu przygranicznego, który daje Polsce rocznie po kilka miliardów dolarów!

A tak szczerze mówiąc, to przecież Polska pomaga Unii, a nie odwrotnie! Mając z Unią chronicznie ujemny bilans handlowy, Polska w jakimś stopniu podtrzymuje jej koniunkturę, podczas gdy Unia "zarzyna" polską produkcję

zalewem swoich towarów!

I wreszcie, czy aby naprawdę Polska negocjuje swoje członkostwo w Unii, czy tylko "partnerstwo dla członkostwa"? Unia bowiem tak to nazywa, a to jest wieloznaczne...

### **Uwagi końcowe**

Polska niepotrzebnie pośpieszyła się z akcesją do NATO i Unii Europejskiej, nie mając rozeznania czym one są naprawdę, co mogą jej oferować, gdzie skomplikować jej życie, a z czego "ograć" przy okazji. Obie te instytucje znajdują się na "rozstajnych drogach" szczególnie ta druga (według przeprowadzonych badań przez londyński "Demos", który w czerwcu br. opublikował 65. stronicowy raport tylko czterech z dziesięciu obywateli krajów Unii Europejskiej uważa przynależność do niej za korzystną dla interesów narodowych, wobec 2/3 jeszcze kilka lat temu).

**Najpierw Polska powinna być wzmocnić swoje państwowe struktury, uporządkować scenę polityczną, stworzyć, na ile to możliwe, jedność moralno-polityczną narodu, zapytać go w referendum powszechnym o myśli o sprawie, a wreszcie, zaostrzonym ołówkiem, zrobić dokładny bilans możliwych korzyści i strat z członkostwa w Unii, żeby potem nie było przykrych niespodzianek.**

**Niestety, tego nie uczyniono i stąd mamy jeszcze jedną polską improwizację na kolejnym zakreście dziejowym.**

#### ***Przypisy***

*1. Ewentualna interwencja NATO w Serbii z powodu kryzysu w jej prowincji Kosovo może mieć nieobliczalne skutki dla stosunków międzynarodowych. USA i Anglia bowiem skłonne są użyć sił zbrojnych NATO przeciwko "nowej Jugosławii" (Serbia i Czarnogóra) bez zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ, podczas gdy Niemcy, Francja, Włochy i Dania zajmują przeciwne stanowisko. Zdecydowanie przeciwne stanowisko zajmuje także Rosja, grożąc nawet zerwaniem swoich stosunków z NATO i powrotem do "zimnej wojny".*

*2. Na odbytym w dniach 15-16 czerwca 1998 szczycie Unii Europejskiej w Cardiff, w Anglii, kanclerz Kohl zdecydowanie postawił sprawę redukcji wkładu Niemiec do jej budżetu. Ostateczne decyzje w tej sprawie chwilowo odłożono, ale perspektywa zrealizowania niemieckiej groźby niepomiarowo wzrosła.*

*3. Szczyt Unii Europejskiej z czerwca 1998 r., w Cardiff, w Anglii, był odbiciem pogłębiania się "euroceptycyzmu", przede wszystkim ze strony Niemiec i Francji co może mieć fatalne skutki dla przyszłości integracji w Europie. Dla przezwyciężenia tych tendencji oraz przyspieszenia realizacji "Agendy 2000", planuje się w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy aż pięć szczytów (normalnie, szczyty odbywają się co sześć miesięcy). Więcej na ten temat wiadomo będzie dopiero po marcu 1999 roku.*